CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 15 Stycznia 1939 R. NR. 1-2

Przemiany

Rok 1938 nie zapisał się dobrze w pamięci Europy. Szczególnie dla zachodu Europy był to — według określenia jednego z głównych bohaterów wydarzeń historycznych tego roku — „rok nieprzyjemny".

Głównym celem politycznym dyplomacji zachodnio-europejskiej było zabezpieczenie pokoju. Cel ten pozornie został osiągnięty, jeżeli idzie o rachubę czasu kalendarzowa. Osiągnięcie to ma jednak charakter zupełnie hipotetyczny, jeśli chodzi o przyszłość. Pokój Europy za bardzo wysoką cenę został doraźnie ocalony, nie został wzmocniony. Przeciwnie, warunki, które zastaje na wstępie rok 1939, wydają się być poważnie trudniejsze i bardziej niepokojące, niżeli te, w których rozpoczynał się „nieprzyjemny" rok 1938.

Polska jest żywo zainteresowana w każdym fragmencie układu stosunków europejskich. Czasy, w których mogły się toczyć dyskusje na temat, czy należymy do rzędu państw o t.zw. „ograniczonych interesach" — minęły już chyba bezpowrotnie. Dzisiaj — parafrazując tezę starożytnego humanizmu — możemy powiedzieć o sobie, że jesteśmy europejczykami nie tylko w znaczeniu geograficznym, lecz i dlatego, że nic, co dotyczy jakiegokolwiek punktu Europy, obcym nam być nie może.

Cechą obecnego układu stosunków Europy jest fakt, że rok 1938 przekreślił podstawy uprzedniej stabilizacji i równowagi stosunków europejskich. Weszliśmy w okres dynamiczny, w okres istotnych i głęboko sięgających przemian. I tutaj rzeczą zupełnie zasadniczej wagi jest to, z jakim zapasem sił wewnętrznych i w jakim układzie stosunków ogólnych stajemy u progu tego okresu.

*

Rok 1938, „nieprzyjemny" dla wielu znacznie od nas wyżej do niedawna cenionych partnerów gry politycznej europejskiej, dla nas nie był tak zły. Owszem, pod datą tego roku możemy zapisać pewne pozycje o trwałej i wysokiej wartości.

Pozycje te dotyczą w pierwszym rzędzie korzyści terytorialnych i politycznych, związanych z przełomowymi tygodniami wiosny i jesieni roku ubiegłego. Sceptyk może w stosunku do tych korzyści zachować się z wielką rezerwą, stwierdzając, że są one nieproporcjonalne w stosunku do równoczesnych zdobyczy niemieckich. Sceptycy często mają bardzo dużo racji w swych twierdzeniach, nie znaczy to jednak, by racje ich były twórczym elementem historii. Coś podobnego zachodzi i w tym wypadku. Istotne znaczenie terytorialnych i politycznych korzyści, osiągniętych przez nas w roku 1938, leży nie w tym, by miały one zrównoważyć niejako dysproporcję siły państwowej, istniejącą dziś między Polską i Niemcami, — ta dysproporcja równoważy się w zupełnie innej dziedzinie: w dziedzinie szeroko pojętego układu stosunków międzynarodowych — lecz: 1) że usuwały z naszego bezpośredniego sąsiedztwa dwa zagadnienia polityczne, szczególnie niezdrowe i nienormalne; 2) że ilustrowały pewien zasadniczy rys naszego dzisiejszego położenia w przestrzeni i czasie, to jest fakt, że jesteśmy państwem, które może i powinno nie uszczuplać lecz rozszerzać, zarówno zakres swych politycznych wpływów, jak też i zakres swego stanu posiadania.

Można oceniać, że rok 1938 w zakresie polityki zagranicznej przyniósł nam nie wszystko, co przynieść mógł i powinien. Tego rodzaju samowiedza dalej idących celów politycznych jest zjawiskiem zdrowym. W danym wypadku — w odniesieniu szczególnie do zagadnienia wspólnej granicy z Węgrami — jest ona obiektywnie słuszna. Równocześnie jednak nie można każdego doraźnego niepowodzenia łapczywie wyolbrzymiać do znaczenia klęski, podobnie, jak z drugiej strony, nie można każdym sukcesem upajać się do nieprzytomności.

Społeczeństwo polskie — ściślej inteligencja polska i polskie koła polityczne — wykazały w roku 1938 wybitną skłonność do grzechu w obu kierunkach. Dość przypomnieć sobie te przerzuty nastrojów, nieraz w ciągu dwudziestu godzin, od krańcowego pesymizmu do równie krańcowego triumfu i pewności siebie. Zjawisko to nie jest zdrowe i normalne. Kto chce być współuczestnikiem historii, musi mieć poczucie, że naprzód nie idzie się bez trudności.

Jeśli jesteśmy zadowoleni z ogólnego biegu historii naszej wieku XV i XVI, to musimy pamiętać, że dalekosiężne plany polityczne panów małopolskich z końca wieku XVI mogły być łatwo pokrzyżowane już nie tylko przez istotne trudności historyczne, lecz nawet przez kaprys Jadwigi, gdyby mocniej oparła się wyjęciu z jej rąk topora, którym chciała sobie wywalczyć dostęp do Rakuskiego Księcia. Tylko dokonana i retrospektywnie widziana historia ma wygląd szerokiego i równego gościńca — tworzona, przypomina najuciążliwsze ścieżki górskie. Lecz jeśli tak — to trzeba być przygotowanym na to, że trzeba nieraz się w drodze zatrzymać, nieraz trzeba poszukać obejścia i zmienić metodę poszukiwania drogi — nie zawsze jednak musi to być równoznaczne z odwrotem i rezygnacją z zamierzonego celu.

*

Przy ocenie położenia międzynarodowego Polski trzeba brać pod uwagę następujące momenty: 1) kierunek ewolucji naszego położenia w ciągu ubiegłych lat dwudziestu, czy nawet dwudziestu pięciu; 2) zmiany w układzie stosunków międzynarodowych; 3) zasób i kierunek ewolucji sił wewnętrznych.

W zakresie pierwszego pytania najskłonniejszy do czarnowidztwa sceptyk nie może zaprzeczyć faktowi nie tylko radykalnej i zupełnej przemiany sytuacji, lecz — co więcej — wysoce równomiernemu, systematycznemu i spokojnemu kierunkowi tej przemiany. Przed laty dwudziestu pię-

ciu byliśmy tylko Narodem. Przed laty dwudziestu uzyskaliśmy warunki niepodległości. W roku 1922 ustaliliśmy ostatecznie nasze granice państwowe. W roku 1926 uzyskaliśmy poraz pierwszy uznanie naszego politycznego znaczenia w postaci wyboru do Rady Ligi Narodów. W latach 1926—1938 przeprowadziliśmy akcję wywalczenia dla siebie pozycji czynnika istotnie samodzielnego i równouprawnionego w zakresie wyznaczania planów politycznych i możności ich realizacji. Rok 1938 przyniósł nam wspomniane na wstępie. może niezupełne, lecz istotne, usunięcie najbardziej drażniących i jątrzących punktów z naszego bezpośredniego sąsiedztwa. Trzeba być wielkim sceptykiem, by wartości i znaczenia tej ewolucji nie dostrzegać.

W zakresie układu stosunków międzynarodowych możemy zanotować zmiany zarówno negatywne, jak pozytywne. Do pierwszych zaliczyć należy rozpadnięcie się lub przynajmniej bardzo głębokie osłabienie systemu równowagi i bezpieczeństwa Europy, wytworzonego przez Traktat Wersalski. Po drugiej stronie rachunku możemy jednak zapisać rzeczy niemniej ważne: 1) zanik lub przynajmniej bardzo poważne osłabienie pierwotnej tezy ostrej i równoczesnej wrogości niemal wszystkich sąsiadów — w pierwszym rzędzie Rosji i Niemiec — jako stałego elementu naszej sytuacji politycznej w Europie; 2) związaną z tym i omawianą już kilkakrotnie na tych łamach likwidację smutnego przywileju, że byliśmy lub zdawaliśmy się być państwem wyjątkowego wprost w Europie zagrożenia, przeznaczonym niejako na to, by w dobie zachwiania się wytworzonej przez Traktat Wersalski równowagi padło ofiarą chęci ratowania pokoju tej części świata jego kosztem. Saldo ogólne nie wypada ujemnie.

W zakresie stosunków wewnętrznych możemy stwierdzić ogromny wzrost sił na każdym polu. Z państwa dwudziestosiedmiomilionowego staliśmy się państwem trzydziestopięciomilionowym. Równocześnie zaś przestaliśmy być państwem-ruiną, stajemy się — może niedostatecznie szybko, niemniej jednak zupełnie wyraźnie: państwem systematycznie i wszechstronnie rosnącej energii. I znowuż saldo nie wypada ujemnie.

Kto chce wyznaczać dzisiejsze i jutrzejsze drogi rozwoju Polski — ma w Europie przykład, na którym niejako może obserwować koleje losu państw, które idą od niewoli i rozbicia do potęgi. Przykładem tym są Włochy. Wyzwolone i zjednoczone w roku 1861, podobnie jak i Polska przechodziły koleje stopniowego usuwania materialnych i psychicznych rezultatów niewoli, by w drugiej ćwiartce wieku swej egzystencji ujawnić szersze aspiracje, zaś w trzeciej istotną zdolność realizacji dalej idących celów państwowych.

Przy porównaniu Polski i Włoch, należy zwrócić uwagę jeszcze na następujące momenty: 1) podstawa terytorialna Polski jest o ca 25% większa, niżeli była podstawa terytorialna Włoch zjednoczonych; 2) nasze warunki startu były poważnie cięższe, niżeli warunki startu Włoch; 3) procesy wzrostu sił zdają się u nas przechodzić znacznie szybciej, niżeli miało to miejsce we Włoszech; 4) nasze warunki geograficzne są trudniejsze, niżeli były warunki geograficzne Włoch. Trudniejsze warunki jednak, to nie są mniejsze możliwości — to tylko większe obowiązki w zakresie niedopuszczania do chociażby chwilowej słabości wewnętrznej.

*

W zakresie stosunków wewnętrzno-politycznych rok 1938 nie zapisał się w Polsce ujemnie. Nie mamy tutaj na myśli spraw i interesów żadnego obozu politycznego, chodzi nam o warunki stabilizacji ogólnej państwa. Stabilizacja ta jest zjawiskiem niezaprzeczalnym i jest zjawiskiem dodatnim. Inaczej może patrzeć na to ten, kto uważa, że pomyślność ojczyzny możliwa jest tylko pod jego kierunkiem. Gdybyśmy mieli inne warunki geograficzne i polityczne, moglibyśmy sobie pozwolić na to, by co jakiś czas inny eksperymentator brał państwo jako materiał doświadczalny dla wypróbowania swych sił i swej pewności siebie. W naszych warunkach musimy życzyć sobie zdrowej i pozostawiającej możność naturalnej ewolucji sił i warunków — stabilizacji. Pod tym względem rezultaty roku 1938 nie są dla naszych stosunków wewnętrznych ujemne. Wprawdzie po wszystkich niemal ośrodkach naszego życia politycznego kręcą się w dalszym ciągu swoiści piromani, wywijający pochodniami i zalecający piękno widoku, jaki powstaje, gdy iskra pada na beczkę z prochem, jednak izolacja faktyczna tych namiętnych entuzjastów „hiszpańskiej linii podziału" jest dzisiaj dość ścisła i silna, znacznie silniejsza, niżeli była przed rokiem i to bez zastosowania ostatecznego argumentu — ultima ratio — kaftanów bezpieczeństwa.

Sprawa ta — to nie tylko zagadnienie wewnętrznego porządku, jako podstawy zewnętrznego spokoju. Jest to coś więcej. Świat dzisiaj przechodzi silne konwulsje rodzenia nowych podstaw ustrojowych, mających niejako usunąć sklerotyczne wynaturzenia wielkiej wartości, pozostawionej nam przez wiek XIX — szeroko pojętej demokracji. Polska ma dzisiaj warunki potemu, by procesy te przejść znacznie zdrowiej, spokojniej i może z lepszymi rezultatami, niżeli ma to miejsce gdzie indziej. Opanowanie ośrodków zbytniej nerwowości ma tutaj jeszcze i to znaczenie, że pozwala na zabezpieczenie normalnego przebiegu tych procesów bez zakłócenia ich przez poważnie deformujące rzeczywistość wybuchy zbiorowej czy jednostkowej histerii. Z punktu widzenia naszych szeroko pojętych zadań historycznych może to być zjawiskiem niepośledniego znaczenia.

*

Lecz w sporze zdań między entuzjastą i sceptykiem — sceptyk i tutaj nie pozostanie pokonany. Wyciągnie argument ostateczny, najsilniejszy, nadużywany w Polsce chyba bardziej, niżeli gdziekolwiek na świecie, zdolny unicestwić wartość każdego zgoła wysiłku i każdego osiągnięcia, sparaliżować każdą energię, argument o sile fatalnej: „nastąpi postronny nieprzyjaciel".

Argument ten — jak powiedzieliśmy wyżej — ma w Polsce dzisiejszej wyjątkowo sugestywne znaczenie. I nic dziwnego. Jak oparzone dziecko będzie miało „kompleks" ognia czy gorącej wody, tak my mamy wciąż „kompleks niewoli". W warunkach, w których nikt w Europie nie ma gwarancji istotnego bezpieczeństwa, nam się wydaje wciąż, że wszystkie bez wyjątku ciosy zwrócone są przede wszystkim w naszą pierś i na nasze granice. Liczni są wciąż jeszcze w polskim społeczeństwie ludzie, którzy — według satyrycznego wierszyka z roku 1915 — „strach niosąc w ręku jak monstrancję i stojąc u rozstaja dróg, pytają: gdzież więc są gwarancje, że nas nie zdepce w prochu wróg?". Ten swoisty „winkelrydyzm" sugestii strachu jest poważnym niebezpieczeństwem. Jest to jedna z tych harpij, które dziś jeszcze w dalszym ciągu mogą „ssać siły Narodu i niszczyć", jak ssały je i niszczyły w okresie niewoli.

Zresztą trzeba być sprawiedliwym, trzeba uczynić jedno zastrzeżenie. Wspomniana wyżej choroba, „kompleks niewoli", czy „komlepks niewiary" nie jest chorobą całego społeczeństwa, całego Narodu. Jest to, jeśli nie wyłącznie to przede wszystkim, choroba jednej tylko społecznej warstwy: inteligencji.

Inteligencja polska skłonna jest popełniać swoistą „zdradę clerców": zaszczepiać innym warstwom, zamiast poczucia siły i poczucia wartości rozwoju, pierwiastki przede wszystkim negatywne — poczucie słabości, zagrożenia, niższości kulturalnej i gospodarczej, małości osiąganych rezultatów.

Kierunek i charakter przemian, w których uczestniczymy zarówno jako Państwo, jak też i jako Naród, bynajmniej nie usprawiedliwia tego rodzaju pesymizmu i negatywizmu. Rezultaty osiągane przez nas, oglądane zarówno z perspektywy roku, jak też i z perspektywy lat kilkunastu, prowadzą do innych wniosków. Jesteśmy pod każdym względem na dorobku. Z chłopskim uporem i zaciętością, lecz i z chłopską zdolnością poszanowania wartości każdego osiągniętego rezultatu, każdej krowy w oborze, każdej krokwi na dachu, musimy realizować program istotnej wielkości niepowstrzymanie rozwijającej się Polski. Poczucie zewnętrznych niebezpieczeństw i ewentualnych trudności musi tu być czynnikiem nie zniechęcającej sugestii, lecz twardej chłopskiej konieczności nieustającego „baczenia, by lemiesz czyj w skraj ziemi się nie worał!"

Pomiędzy rezultatami roku 1938 jest i ten, że nikt już dziś w Europie nie może żywić złudzeń, by zagon polski należał do niedostatecznie mocno i zdecydowanie chronionych. W czasach niespokojnych i trudnych i to jest wartością istotną.

Roman Dmowski

Za życia był przede wszystkim Człowiekiem partii, ideologiem pewnego politycznego Obozu. W stosunku do przeciwników politycznych, reprezentantów innej myśli, chociaż nawet wspólnego celu, był bezwzględny, apodyktyczny, nieskory do poszanowania ich wartości. Stąd też i sam był zwalczany ostro.

Równocześnie jednak był wiernym sługą swego Narodu, troskliwym poszukiwaczem najlepszych we własnym rozumieniu dróg politycznych dla odrodzonego Państwa. W dziejach zarówno Narodu jak Państwa odegrał rolę wielką, doniosłą, był uczestnikiem i współtwórcą wydarzeń o wiekopomnym znaczeniu. Stąd też nad Trumną odchodzącego na wieczny spoczynek panuje uroczysta i pełna poszanowania powaga, należna tym, którym w udziale przypadł wysoki zaszczyt pośmiertnego trwania w historii.

Nie będziemy tutaj pisać traktatu ani o błędach, ani o zasługach Zmarłego. Nad świeżą Trumną szczery rachunek błędów byłby może niepożądanym dysonansem. Nie możemy zaś zgodzić się z poglądem, by najlepszym sposobem istotnego oddania hołdu było zapomnienie o głęboko sięgających różnicach zdań zarówno w odniesieniu do przeszłości, jak i w stosunku do dzisiejszych warunków i potrzeb Polski. Rachunek zasług czyniony jest lepiej i pełniej, niżeli my moglibyśmy to uczynić, przez przede wszystkim powołanych do tego towarzyszy pracy, współideowych wyznawców. Ze swej strony i na tym miejscu pragniemy podkreślić przede wszystkim ogromną rolę, jaka niespornie przypadła w udziale Romanowi Dmowskiemu w zakresie walki dyplomatycznej o nasze granice zachodnie i o nasz dostęp do Morza.

Niejednokrotnie słyszy się żale spowodu ostrej i wzrastającej z latami przeciwstawności dróg życia i walki dwóch ludzi, którzy w ostatnim pięćdziesięcioleciu większą nad innych odegrali rolę w tworzeniu nowej polskiej rzeczywistości, nowej naszej historii. Żalów tych nie uważamy za słuszne. Nie chcemy bawić się w przewidywania, jakimi drogami potoczyłyby się dzieje, gdyby przeciwstawności tej nie było. Wiemy natomiast, w jak wielkim stopniu w ostatecznym wykreśleniu granicy Państwa i w stworzeniu warunków dzisiejszej i jutrzejszej potęgi tego Państwa współdziałał fakt historycznego dopełnienia się politycznych dróg i politycznych możliwości, które w okresie poprzedzającym wojnę i w czasie wojny zostały stworzone przez Józefa Piłsudskiego z jednej, przez Romana Dmowskiego z drugiej strony.

Przy porównaniu tych dwóch nazwisk popełniany jest często błąd dużej miary, graniczący z nadużyciem. Przeciwstawność tych dwóch ludzi nie była bynajmniej przeciwstawnością „ideologa" i „polityka" z jednej — „realizatora" z drugiej strony. Źródłem przeciwstawności było coś zupełnie innego. Siłą Romana Dmowskiego było to, co było równocześnie jego słabością: realizm i trzeźwość myślenia. Ten twórca nowoczesnego nacjonalizmu polskiego, więc twórca prądu, płynącego normalnie ze źródeł przeważnie lub przynajmniej w wielkiej mierze uczuciowych, był przez całe swe życie, od pierwszych lat zetowych po prace publicystyczne lat ostatnich, wyjątkowym wprost w konstrukcji myślowej racjonalistą, zwolennikiem przemyśleń chłodnych i trzeźwych, nad którymi jednak życie z wielką nieraz łatwością przechodziło do porządku dziennego. I tutaj była wyższość „romantycznej" wyobraźni Józefa Piłsudskiego, która pozwalała mu na niezmiernie celowe i skuteczne sprzęgnięcie w jedno: potęgi myśli, woli i pełnego intuicji uczucia.

Racjonalizm Romana Dmowskiego ciążył nad całą jego działalnością ideologiczną i polityczną. Był w pewnych okresach czynnikiem wysoce dodatnim, dał „Myślom Nowoczesnego Polaka" ich realizm, zdolność przeciwstawienia się wszelkim fantazjom i wszelkim ułudom, przy równoczesnej pozytywnej ocenie sił polskich i przewidywaniu, że nadchodzące „niespokojne czasy" winny dać „nawie narodowej" warunki osiągnięcia zwycięstwa. Równocześnie jednak ów racjonalizm kazał mu w niedługi czas później nadmiernie cenić mizerne zupełnie rezultaty osiągnięte w wyniku klęski Rosji w roku 1905 i do nich dostosowywać wytyczne polskiej taktyki w Dumie rosyjskiej, ów racjonalizm kazał mu, w przewidywaniu Wojny Światowej, wiązać nadzieje polskie z przekonaniem o zwycięstwie Rosji, następnie zaś — po klęsce tej ostatniej — z przekonaniem, że sprawa granic może być po myśli naszych interesów załatwiona przede wszystkim przez czynniki zewnętrzne.

Racjonalizm Dmowskiego — jak powiedzieliśmy — był źródłem zarówno jego siły, jak i słabości. Z punktu widzenia przyszłości dzisiejszego nacjonalizmu polskiego nie jest rzeczą bez znaczenia, że ruch ten rozwijał się właśnie pod przemożnym wpływem programowym i intelektualnym Romana Dmowskiego. Temu zjawisku w dużej mierze można przypisać omawiany już na innym miejscu (patrz Nr. 49/50 „N. i P." — „Zagadnienie młodzieży) fakt, że nacjonalizm ten został tak bardzo zacieśniony do drobnych stosunkowo ambicji w zakresie naszego wewnętrznego życia, tak oczyszczony z wielkich i na istotnie historyczną miarę obliczonych koncepcji politycznych, które towarzyszyły zawsze myślom i działaniom Józefa Piłsudskiego.

W dzisiejszej Polsce, szczególnie w jej najmłodszym pokoleniu, wpływ Romana Dmowskiego był i jest bardzo poważny. Nie znaczy to jednak, by istotnie był tak powszechny i tak znaczny, jak to mogłoby wynikać z głosów pośmiertnych ocen, czy nawet z pobieżnej i przybliżonej obserwacji. Nie jest ścisłe, by każdy „nacjonalista" polski, nacjonalista nie w znaczeniu zacieśnienia tego pojęcia do pewnej specyficznej frazeologii, lecz w znaczeniu głębokiego poczucia związku z Narodem, odpowiedzialności za jego teraźniejszość i przyszłość, za jego wartość wewnętrzną i zewnętrzne znaczenie — był synem duchowym Romana Dmowskiego. Niemniej wpływ zmarłego na rozwój współczesnego naszego nacjonalizmu był istotnie i niezaprzeczenie wielki. Z faktu tego mogą dla przyszłości nacjonalizmu polskiego płynąć następstwa zarówno dodatnie, jak i ujemne. Racjonalizm i zdolność nadmiernej nieraz trzeźwości politycznej, tkwiące u źródeł polskiego „ruchu narodowego", mogą być dla niego podobnie źródłem zarówno siły, jak i słabości, jak były nimi dla odchodzącego na wieczny spoczynek Ideologa i twórcy doktryn politycznych tego ruchu.

Nad grobem Romana Dmowskiego zebrały się liczne, wierne i szczerze pragnące realizować testament polityczny Zmarłego szeregi uczniów, wyznawców i współtowarzyszy pracy. Byli to ludzie z różnych lat, więcej, z różnych epok historycznych, począwszy od najstarszych towarzyszy pracy „zetowej" aż do najmłodszych gimnazjalnych często roczników przyszłej Polski. Pierwsi żyli i pracowali w kręgu bezpośredniego oddziaływania Zmarłego, ostatni, najmłodsi, karmić się będą już tylko legendą oraz bogatym dorobkiem pracy myślowej, zawartym w pozostawionych książkach i pismach. W stosunku do obu tych źródeł pragnęlibyśmy uczynić jedną uwagę. W poszukiwaniu źródeł natchnienia dla ruchu, który ma ambicję przyszłości, nie należy zbytnio zasklepiać się w rozpamiętywaniu i analizowaniu zarówno legendy, jak i publicystycznej spuścizny lat ostatnich. Dobrze natomiast byłoby cofnąć się do lat najpierwszych, lat wspólnej pracy Romana Dmowskiego, Jana Popławskiego, Zygmunta Balickiego, Mariana Bohusza, Stefana Żeromskiego i wielu innych nad kładzeniem podstaw pod przyszły rozwój polskich ruchów narodowych, począwszy od Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, poprzez N.P.R. i Stronnictwo Chłopskie aż po patriotyczną część P.P.S. włącznie. Kto wie, czy z takiego cofnięcia się wstecz, aż do wyjściowych punktów narodowego ruchu, dzisiejszy nacjonalizm polski nie wyszedłby poważnie zasilony i wzbogacony duchem, lepiej i wszechstronniej pojmujący na czym istotnie polega to, co musi być podstawowym dążeniem każdego szczerego nacjonalisty: istotna wielkość własnego Narodu.

Zbigniew Domaniewski

Polska w świecie

Paryż, 1 stycznia 1939.

Temat niniejszego artykułu może wzbudzić pewne zastrzeżenia. Nie wiele więcej jak dwadzieścia lat temu Polska, jedynie pojęcie geograficzne i kulturalne, nie istniała na politycznej mapie świata. Stawianie odrodzonego państwa polskiego tak wcześnie w szerokich i śmiałych, światowych perspektywach, może sprawić wrażenie przesądnego wyolbrzymiania własnej wartości. Kto ma skłonność do umniejszania materialnego i moralnego znaczenia Polski — a są tacy, niestety — ten odczuje w pierwszym rzędzie kontrast między pytaniem o rolę Polski w świecie, a tym jak świat przedstawia sobie i ocenia jej znacznie. Wiadomo przecież, że trudności naszej polityki zagranicznej wynikają bodaj że głównie z kontrastu między naszym poczuciem własnej siły i jej niedocenianiem przez większość państw obcych.

Polska już nie poraz pierwszy przeżywa taki moment dziejowy. Dzisiejsza światowa sytuacja Polski przypomina pod wieloma względami sytuację z XIV stulecia. Światem była wtedy dla Polski głównie Europa, którą znów stanowiła dość zwarta powszechność chrześcijańska, pozostająca pod zwierzchnim przewodnictwem politycznym i moralnym papieża i cesarza. Ten świat miał ponad kotłowiskiem mniejszych spraw i jednostkowych interesów politycznych jedną wielką i powszechną sprawę — obronę Chrześcijańswa, to znaczy Europy, przed inwazją sił Wschodu i rozszerzenie Europy, czyli Chrześcijaństwa, na Wschód. Polska, przez swe położenie geograficzne, była jakby przez naturę przeznaczona do odegrania decydującej roli, do wykonania lwiej części tego europejskiego zadania; w poczuciu własnej siły do odegrania przynależnej jej w Europie roli dążyła i musiała dążyć. Natomiast świat w tym czasie — przed pierwszą unią Polski z Litwą — odnosił się do Polski co najmniej z niedowierzaniem. Papież, szukając państwa, zdolnego nieść chrześcijaństwo na europejski Wschód, myślał zrazu o Czechach, gdy zaś Czechy się załamały, cesarz podsunął papieżowi Zakon Krzyżacki. Niewiara Rzymu w zdolność Polski do odegrania roli czynnika europejskiego na Wschodzie zagrażała wręcz jej bytowi niepodległemu; raz myślano o oddaniu Polski Czechom, drugi raz Zakonowi, to znaczy w ostatecznym rezultacie cesarzowi. Nie chodziło przecież Rzymowi o to, jakie państwo będzie rozszerzać Chrześcijaństwo na Wschodzie, tylko o to, żeby się znalazło tam państwo dość potężne, by mogło sprostać temu zadaniu. Polska leżała na drodze między ośrodkiem i celem działania europejskich sił chrześcijańskich i groziło jej, że zostanie przez te siły zmieciona z powierzchni ziemi. Jednak wystarczyło jednego genialnego posunięcia — Unii — żeby Polska otworzyła światu oczy na swą istotną siłę i zaczęła budować Europę na olbrzymich obszarach Wschodu.

To przypomnienie jednego z najdonioślejszych momentów naszej historii jest podwójnie ważne. Wzbudza optymizm i daje nam bardzo bliską analogię z wydarzeniami naszej polityki zagranicznej w ciągu minionych ostatnich kilku miesięcy. Europejskim problemem sprzed kilku miesięcy, o podobnym znaczeniu jak sprawy Chrześcijaństwa w XIV stuleciu, była troska niemal całej Europy o zatrzymanie imperializmu niemieckiego w jego terytorialnej i politycznej postaci. Problem ten dla jednych państw był kwestią bytu, dla drugich sprawą zasięgu ich wpływów mocarstwowych, dla innych jeszcze zagadnieniem kontynentalnej równowagi sił; zawsze jednak pozostawał problemem zahamowania niemieckiego imperializmu. Polska polityka zagraniczna w swej najgłębszej treści, w swej wielkiej linii wytycznej, może właśnie wypełnić takie zadanie. Lecz jak w XIV stuleciu Rzym, tak wczoraj Zachód odnosił się do Polski z niedowierzaniem. W XIV stuleciu Rzym nie pomyślał o tym, żeby poprostu oprzeć swą wielkoeuropejską politykę wschodnią na barkach młodego, pełnego entuzjazmu państwa polskiego. Wolano popierać Zakon Krzyżacki, który, okrążając niedocenianą Polskę od północy, prowadził za sobą na rubieże pogańskiej Litwy zaborcze Cesarstwo. Do niedawna jeszcze popierano w Paryżu Czechosłowację, która, okrążając Polskę od południa, prowadziła na granice Niemiec zaborczy bolszewizm. Jak w XIV stuleciu w Rzymie, tak przed kryzysem czechosłowackim w Paryżu, nie pomyślano o tym, żeby oprzeć politykę obrony powszechnych interesów Europy na Wschodzie na barkach Polski, na jej niezachwianej woli wielkości i już potężnej sile. Po Grunwaldzie Polska stała się na Zachodzie przedmiotem niebywałych oszczerstw ze strony czynników sprzyjających Zakonowi; starano się np. wmówić w świat, że Polacy czczą Jagiełłę jak pogańskiego bożka, a tym samym że Polska stała się po Unii narzędziem pogaństwa. Na soborze w Konstancji rektor Wszechnicy Jagiellońskiej, Paweł Włodkowic z Brudzewa, uzasadniając w swym wspaniałym traktacie, że „wiara nie ma być z przymusu" krzyżackiego, musiał stoczyć ciężką walkę ze szkalującymi Polskę teologami niemieckimi. Coś bardzo podobnego można było obserwować po kryzysie czechosłowackim, kiedy to z pobudek prostej zemsty starano się w pewnych kołach Zachodu obniżyć polityczny i moralny autorytet Polski, przedstawiając ją jako świadome czy nieświadome narzędzie imperializmu hitlerowskiego. Tymczasem Polska, jak i w XIV — XV stuleciu, idzie naprzód swą prostą, zarówno dla siebie jak i dla europejskiej powszechności twórczą, drogą.

Między dwoma omawianymi tutaj faktami, które dzieli czas pięciu stuleci, istnieją także zasadnicze przeciwieństwa. W czternastym i w początkach piętnastego wieku były istotnie w Europie poza Polską siły polityczne zdolne obronić Chrześcijaństwo. Natomiast dzisiaj, jeśli pominąć Polskę, nie ma państwa, które w razie potrzeby mogłoby rzucić na szalę swój prestiż mocarstwowy i swe militarne siły dla obrony Europy Wschodniej jako dziedziny świata, w której każde państwo ma słuchać jedynie własnych, nie zaś niemieckich praw. Nie lekceważymy tutaj bynajmniej oświadczeń ministra spraw zagranicznych Francji o niezmniejszonej wartości jej wschodnich sojuszy, nie chcemy bynajmniej umniejszać doniosłości tych oświadczeń, tylko wyciągamy wnioski z panującego na Zachodzie ducha. **Jest to duch zwątpienia, duch defetyzmu.** Jeśli chodzi o Francję, to opinia publiczna żyje po kryzysie czechosłowackim pod wrażeniem, iż nie istnieje praktyczna możliwość powstrzymania na Wschodzie dynamizmu hitlerowskiego. Monachium było dla rządu francuskiego kapitulacją w sprawie Czechosłowacji i tylko w tej sprawie; w szerokich kołach opinii francuskiej był to początek duchowej kapitulacji przed niemieckim parciem na Wschód w ogólności. Przed kryzysem czechosłowackim duża większość opinii francuskiej odpowiadała na dążenia niemieckie stanowczym **Nie!**, naród francuski w większości czuł się i chciał być zaporą dla imperializmu hitlerowskiego. Natomiast dziś, po Monachium, ten sam odłam opinii francuskiej stał się pasywnym. Jeśli się pisze i mówi o niemieckim parciu na Wschód, to w tonie negatywnym; biada się nad popełnionymi błędami, szuka się „istotnego" winowajcy, wydaje się bolesne westchnienia. W Anglii takiego defetyzmu co prawda nie ma, lecz dlatego, że Anglia nie uważała się za zaporę przeciw niemieckiemu parciu na Wschód, nie odczuła więc rozwiązania kryzysu czechosłowackiego jako bezpośredniej kapitulacji. Wzamian za to w Anglii wzmocniły się dawne tendencje czynników kierowniczych do nieprzeciwstawiania się dążeniom niemieckim, jeśli tylko to da się jako tako pogodzić z postulatami europejskiej równowagi. Manifesty aktywistów ukraińskich, domagają-

cych się utworzenia na olbrzymim obszarze ziem Europy Wschodniej niepodległego państwa ukraińskiego, pogłębiły panujące na Zachodzie nastroje. Manifesty te, które nie są przecież niczym nowym, których dotychczas nikt na Zachodzie nie brał na serio, pod wpływem widma niemieckiego zostały z całą powagą uznane za wydarzenie, przez które sprawa Ukrainy może być postawiona na porządku dziennym polityki międzynarodowej! Zdawało się, iż opinia na Zachodzie czeka tylko, by jutro lub pojutrze „Hitler zaczął robić Ukrainę". Publikowano dziesiątkami mapy, na których kreślono zgoła nieraz fantastyczne granice nowego państwa. Nie mówiono o tym bynajmniej z obojętnym spokojem, ani też z przychylnością — raczej, zda się, skłaniano deterministycznie czoło i myślano, jakie z tego wynikną konsekwencje dla Zachodu. Znaczny odłam opinii francuskiej podniósł odrazu kwestię, czy nie należałoby patronować otwarcie planom ukraińskim Niemiec, dla odwrócenia ich od Zachodu, od kolonii. Wysunięto tezę, że Niemcy, angażując się na oddanym im całkowicie do dyspozycji Wschodzie, zmuszą Włochy do zaprzestania polityki antyfrancuskiej, gdyż nie będą mogły w razie czego poprzeć ich militarnie. Nastroje te były tak silne, iż premier Daladier czuł się zmuszony oświadczyć, że „pokoju się nie żebrze". Niemniej, przed półtora rokiem premier Blum mówił o Czechosłowacji, że „broni ją podpis Francji". Ten podpis okazał się jednak bezskutecznym wobec nastrojów opinii, która w ostatnich momentach kryzysu czechosłowackiego wypowiedziała się za biernością wobec niemieckiego parcia na Wschód i przesądziła postanowienia wahającego się rządu.

Na tle tego obrazu jest już bezpośrednio widoczna rola, odgrywana przez Polskę we wschodnio-europejskiej dziedzinie polityki światowej. Rola ta jest w większej bodajże mierze moralno-polityczna niż militarno-polityczna; jest ona przede wszystkim następstwem mocy ducha. Niezaprzeczona przewaga polityczna Niemiec na kontynencie europejskim wynika nie tyle ze zmienionej sytuacji strategicznej, nie tyle z korzystnego dla Niemiec stosunku sił militarnych, ile z tego, że wytrwałość i niezłomna wola Niemiec rozbiły psychicznie społeczeństwa zachodnie. Szczególnie Francja została niejako zalana przez falę zwątpienia w możliwość i celowość odegrania przez nią decydującej roli na Wschodzie, została na terenie opinii publicznej rozbrojona psychicznie. W przeciwieństwie do świata zachodniego Polska jest w tej chwili środowiskiem zachowującym niezachwiany spokój, środowiskiem mężniejącym w obliczu istniejących niebezpieczeństw, skupiającym się i promieniejącym gotowością do walki o prawa własne i bliskich jej moralnie i geograficznie państw. Nastrój wiary w przyszłość, gotowość do potrzebnych poświęceń, spokój i skoncentrowana praca — oto elementy, które Polska wnosi w tej chwili do sytuacji międzynarodowej, a są to elementy o znaczeniu rozstrzygającym. Postawa Polski wywoła prędzej czy później na Zachodzie reakcję psychiczną, odwrotną do tej, która nastąpiła po Monachium, po kapitulacji. Przyjdzie dzień, w którym ludzie na Zachodzie zaczną przecierać oczy i uświadamiać sobie, że jednak ziemia nie zawaliła się na Wschodzie od grzmotów, które padły z berlińskiego nieba w okresie monachijskim. Rola, którą Polska odgrywa obecnie w zakresie spraw wschodnich, jest rolą tego jedynego z tłumu, który podczas paniki nie stracił głowy, od którego energii i zimnej krwi zależy czy da się, czy też nie da, uniknąć katastrofy.

Międzynarodowa rola Polski nie ogranicza się oczywiście do spraw, w stosunku do jej granic zachodnich. Do zakresu jej zadań i zainteresowań należą taksamo i sprawy wschodnie, które są jeszcze szersze, obejmują jeszcze większe połacie ziemi. Tutaj Polska nie styka się z mniejszymi lub większymi państwami, tylko z Rosją, już raz określoną na innym miejscu w naszym piśmie jako część świata. Stanowisko Polski w stosunku do spraw międzynarodowych związanych z Rosją to już w najbardziej bezpośrednim, najbardziej dosłownym znaczeniu stanowisko w odniesieniu do zagadnień światowych. Jeśli chodzi o dziejowe znaczenie tych zagadnień, to są one, w wielokrotnie powiększonych rozmiarach, analogiczne do zagadnienia Litwy w XIV stuleciu. Była ona zagrożona przez Zakon od Zachodu, przez tatarszczyznę od Wschodu; dziś Rosja zagrożona jest przez Niemcy i Japonię, przez czynnik europejski zachodni i przez czynnik azjatycki wschodni. Jak w końcu średniowiecza Litwa, tak w dobie obecnej Rosja zagrożona jest integralnie, do podstaw swego bytu. Uzasadnialiśmy swojego czasu, że dla Japonii zagadnienie wojny z Rosją jest zagadnieniem definitywnego rozbicia Rosji, zarówno jako potęgi azjatyckiej, jak i jako potęgi europejskiej. Stąd wspólność interesów z Niemcami, dla których znów kwestia Rosji jest kwestią budowy kontynentalnego, światowego imperium niemieckiego. Dla obu tych mocarstw Rosja jest to puszcza dziewicza, którą trzeba zrąbać, spalić i na jej miejscu założyć własne gospodarstwo. Jest to stanowisko, zajęte niegdyś w stosunku do Europy Wschodniej przez Zakon Krzyżacki, stanowisko, którego rezultaty oglądamy dziś w Prusach Wschodnich, a których nie oglądamy na terytorium dawnej Litwy tylko dlatego, że Polska do tego karczunku nie dopuściła.

Stosunek Polski do Litwy nie był stosunkiem do dziewiczego terenu, lecz stosunkiem do **fragmentu ludzkości**, z którą się współżyje, a której się nie zaorywuje. Taki sam był po ostatecznej Unii z Litwą nasz stosunek do Rosji, wówczas już bezpośredniej wschodniej sąsiadki. Polska nie występowała w odniesieniu do Rosji agresywnie. Wojny, które zaczęły się za Zygmunta Augusta, były następstwem przyjęcia przez Iwana Groźnego tytułu „Cara wszystkich Rusi", co było aktem w stosunku do Polski zaczepnym, były również walką o należącą do Litwy Dźwinę. Jeśli poczynając od czasów Stefana Batorego, Polska przeszła od defenzywy do ofenzywy, to dlatego, że inaczej nie dałoby się obronić naszych ówczesnych kresów. Przy tym Polska była dla Rosji czynnikiem kulturalnie twórczym. Gdy np. Kijów dostał się w roku 1667 w ręce Moskwy, wówczas stał się ogniskiem, z którego promieniowały na całą ówczesną Rosję wszczepione uprzednio przez Polskę w środowisko kijowskie elementy kultury zachodniej, przerobionej w tyglu słowiańskim, lub naszej własnej, jak idee społeczne. Gdyby Polska zdołała utrzymać się w sile mocarstwowej, gdyby tym samym pozostała nadal dla Rosji kulturalnie atrakcyjna, to nie wiadomo, czy Piotr Wielki otworzyłby na oścież wrota Rosji wpływom germańskim, które w gruncie rzeczy tylko sparaliżowały jej kulturalną samodzielność rozwoju, przyczyniły się w ostatecznym rezultacie do jej osłabienia. Gdyby Polska w XVII — XVIII wieku nie zaczęła chylić się ku upadkowi, gdyby pozostała była w dalszym biegu stuleci decydującym czynnikiem mocarstwowym na europejskim Wschodzie, ze swym demokratyzmem i związanym z nim uszanowaniem wszelkich ludzkich wartości, to obszar dzisiejszej Rosji uwolniłby się zapewne znacznie wcześniej od despotyzmu carów i nie przeżyłby powtórnej inwazji obcych jej prakulturze idej — idej bolszewizmu, który mógł powstać tylko wśród ruin tępego absolutyzmu i kulturalnego nieskrystalizowania. Jeśli dziś Polska, jako środowisko polityczne i kulturalne, przeciwstawia się promieniowaniu bolszewizmu z Rosji na Zachód, to nie tylko nawiązuje do dawnej, tradycyjnej swej roli zapory przed penetracją na Zachód, do Europy, kulturalnie niszczących sił azjatyckich, lecz również kontynuuje, w formie pasywnej, jako czynnik oporu rolę, którą dawniej spełniała w formie aktywnej, jako czynnik kulturalnego promieniowania. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Polska, nie dopuszczając do ekspansji bolszewizmu poza granice Rosji na Zachód, stwarza równocześnie warunki odwrotu Rosji sowieckiej od destrukcyjnych i azjatyckich form ideologii, wytworzenia korektyw, niezbędnych dla normalnego współżycia z Zachodem. Przy tym w rękach Polski, dzięki jej położeniu geograficznemu i sytuacji strategicznej, znajduje się w wielkim stopniu możność oddziaływania na zakres warunków realizacji niemieckich i japońskich dążeń do podboju Rosji. W skali dziejowej jest to sprawa możliwości czy niemożliwości przekształcenia Rosji europejskiej w nowe, gigantyczne obszarem, Prusy Wschodnie. W powstających stąd międzynarodowych zagadnieniach, które są w całym tego słowa znaczeniu ogólno-

ludzkimi, rola Polski jest najbardziej pierwszoplanowa. Tutaj Polska prowadzi istotnie politykę światową.

Polska znalazła się dziś na skrzyżowaniu sprzecznych interesów, które dotyczą dziedzin ziemi, ciągnących się od Morza Północnego do Oceanu Spokojnego i od Oceanu Lodowatego do Morza Śródziemnego. Stanowisko, zajmowane przez Polskę w odniesieniu do bieżących zagadnień polityki międzynarodowej, dotyczy **bezpośrednio** zamierzeń i losu narodów, stanowiących razem piątą część całej ludzkości. Pośrednio, decyzje i posunięcia Polski mogą mieć znaczenie uniwersalne. Sytuacja ta jest zaszczytna, lecz może stać się w jeszcze większej mierze niebezpieczną, jeśli Polsce nie starczy siły mocarstwowej, aby w tym skrzyżowaniu napięć politycznych być podmiotem, a nie biernym przedmiotem polityki. Wszyscy pamiętamy powiedzenie Marszałka Piłsudskiego, że „Polska albo będzie mocarstwem, albo jej nie będzie". Czy Polska zajęła już w świecie pozycję wielkiego mocarstwa? Opinia nasza z zadowoleniem notuje, jak rośnie z roku na rok w ocenie świata znaczenie Polski jako państwa i czynnika międzynarodowego. Zadowolenie to jest, oczywiście, słuszne i naturalne. Popełniamy jednak błąd, gdy sądzimy, że powszechne uznanie Polski za mocarstwo nastąpi jako ukoronowanie stopniowego wzrostu jej znaczenia. Państwa nie stają się wielkimi mocarstwami w drodze powolnego, stopniowego awansowania, tylko nagle, często zupełnie niespodziewanie, w następstwie jakichś wielkich wydarzeń. Francja stała się wielkim mocarstwem za życia Richeliego, Anglia stała się wielką potęgą morską za życia Cromvella dzięki Aktowi nawigacyjnemu, Japonia została uznana za mocarstwo po bitwie pod Cuszimą.

Mocarstwa rozkwitają niejako w ciągu jednej dziejowej doby. Otóż Polska znalazła się dziś w fazie, w której znajduje się każde młode, rozkwitające życie, które ma być potężne. Z roku na rok rosną jej materialne podstawy mocarstwowe i niedługo już wystarczy jednego doniosłego wydarzenia, jednego śmiałego i brzemiennego w międzynarodowych skutkach posunięcia, aby Polska została uznana z dnia na dzień bez żadnych już zastrzeżeń i niedowierzań za wielkie mocarstwo. Polska weszła w fazę typową dla państw, które dojrzewają do tego, aby zająć nowe stanowisko w świecie.

Wł. Osten

O prawo do urlopu wypoczynkowego

Urlop wypoczynkowy pracownika jest zdobyczą społeczną przez nikogo bodaj już dzisiaj niekwestionowaną. Doświadczenie kilkoletnie wykazało, że zwolnienie pracownika raz w roku od obowiązku świadczenia pracy na pewien czas i umożliwienie mu spędzenia tego czasu w warunkach, pozwalających na wypoczynek i na wytchnienie, daje doniosłe rezultaty: nie tylko wzmaga wydajność jego pracy, nie tylko podtrzymuje jego siły i zdatność do pracy, ale ponadto przyczynia się do pogłębienia jego rozwoju kulturalnego i do rozbudzenia zainteresowań intelektualnych.

Toteż nic dziwnego, że zarówno w przekonaniu powszechnym jak i w doktrynie społeczno-prawnej utrwala się przekonanie, że urlop wypoczynkowy pracowników jest urządzeniem publicznym, że istoty jego nie należy tłumaczyć i wykładać, biorąc za podstawę interesy prywatne, lecz że u podstaw tej instytucji leży troska o zdrowie i zdolność do pracy nie poszczególnego pracownika, lecz całego narodu. Prawo do urlopu wypoczynkowego pracownika nie jest prawem, które może być odstąpione lub sprzedane: jest to prawo, nakładające zarazem obowiązek wypoczynku i wytchnienia, obowiązek rekreacji sił duchowych i fizycznych na nowy rok pracy.

Gdy taki jest sens urlopu wypoczynkowego, byłoby rzeczą słuszną, aby prawo do tego urlopu nabywał każdy pracownik, który w roku, poprzedzającym udzielenie urlopu, wykonywał pracę najemną. Tymczasem polska ustawa urlopowa (z dnia 16 maja 1922 r. Dz. U. RP. z 1933 r. nr. 94, poz. 735) przyznaje prawo do urlopu *tylko temu pracownikowi, który pracował bez przerwy rok w tym samym przedsiębiorstwie* (lub pół roku, jeżeli pełnił pracę umysłową). Znaczy to, że tylko *praca nieprzerwana, pełniona u tego samego pracodawcy* posiada z punktu widzenia polskiej ustawy urlopowej walor, i tylko taka praca „godna" jest wypoczynku. Natomiast praca pełniona w ciągu roku u kilku pracodawców nie liczy się. Nie zdobywa ona pracownikowi prawa do urlopu, chociażby była równie ciężka lub cięższa, niż praca innego pracownika u tego samego pracodawcy.

Ten stan rzeczy jest z punktu widzenia istoty urlopu wypoczynkowego absurdem i nie może być oczywiście nadal w naszym ustawodawstwie utrzymany. Wymóg dłuższej pracy u tego samego pracodawcy dla nabycia prawa do urlopu wypoczynkowego jest niczym innym, jak echem dawnej koncepcji, w myśl której urlop wypoczynkowy był uważany za swojego rodzaju premie za wierność, przyznawaną przez pracodawcę. Prawo do tej premii nabywał tylko pracownik wierny, to jest taki, który długotrwałą służbą wykazał swoje przywiązanie i swoją przydatność dla pracodawcy. Dzisiaj jednak, kiedy istota prawna urlopu jako urządzenia publicznego została przez wszystkich przyjęta i uświadomiona, tego rodzaju wymóg wierności nie jest niczym usprawiedliwiony i jest niesłuszny. Nikt nie chce i nie może zrozumieć, dlaczego spośród dwóch pracowników, mających za sobą tę samą ilość wykonanej pracy, jeden nie ma prawa do urlopu dlatego, że pracował u kilku pracodawców, drugi zaś ma prawo, bo nie miał potrzeby zmieniania pracodawcy.

Zagadnienie podniesione tutaj posiada większą doniosłość, niżby to się na pierwszy rzut oka wydawało. Jakkolwiek bowiem stosunek pracy trwały jest regułą życia gospodarczego, to przecież istnieją gałęzie pracy, w których znowu zasadniczo panuje stosunek pracy krótkotrwały, rozciągający się zaledwie na kilka tygodni, a nawet nieraz na kilka dni. Do tych gałęzi pracy zaliczyć trzeba przede wszystkim przemysł budowlany i roboty publiczne. Jednak i w innych gałęziach pracy obok stosunków trwałych, które zapewniają pracodawcy ekipę stałych pracowników, mamy do czynienia ze stosunkami pracy krótkotrwałymi spowodowanymi potrzebami przejściowymi zakładu pracy. Liczba pracowników, którzy w ciągu roku zmieniają pracodawcę, których więc z punktu widzenia naszego uważać należy za pracowników niestałych, jest bardzo duża i waha się w zależności od przemysłu w rozległych granicach. Według badań Głównego Urzędu Statystycznego wśród robotników, zatrudnionych w przemyśle przetwórczym w 1934 r. tylko 70% posiadało czas pracy ponad jeden rok w tym samym przedsiębiorstwie, czyli że okrągłe 30% robotników przemysłu przetwórczego w 1934 r. nie nabyło prawa do urlopu.

Jeżeli ustawodawca polski dotychczas nie kwapił się z usunięciem tego bądź co bądź obrażającego poczucie sprawiedliwości stanu rzeczy i nie rozwiązał zagadnienia prawa do urlopu wypoczynkowego pracowników niestałych, to przede wszystkim dlatego, że problem ten mieści w sobie niewątpliwie duże trudności. Prawo do urlopu składa się z dwóch roszczeń: z roszczenia o zwolnienie od obowiązku świadczenia pracy oraz z roszczenia o wynagrodzenie za czas zwolnienia. Otóż jeżeli realizacja pierwszego roszczenia nie powinna zasadniczo napotykać na trudności, o tyle z drugim roszczeniem kłopot jest o wiele większy. Pracodawca, u którego pracownik niedawno zaczął dopiero pracować, może słusznie zarzucać, iż obciążenie go obowiązkiem wypłaty pieniędzy urlopowych pracownikowi, który przepracował rok, poprzedzający urlop u kilku pracodawców, byłoby niesprawiedliwe. Jedyne rozwiązanie polega na tym, że *wszyscy pracodawcy, u których pracownik pracował w okre-*

sie poprzedzającym urlop, składają się na jego wynagrodzenie za urlop, przyczem każdy z nich wypłaca kwotę, odpowiadającą okresowi zatrudnienia pracownika.

Nowe ustawodawstwa urlopowe innych państw, przede wszystkim zaś prawo urlopowe międzynarodowe wkroczyło już zupełnie wyraźnie na drogę realizacji prawa do urlopu wypoczynkowego pracowników niestałych. Oto jakkolwiek Konwencja w sprawie płatnych urlopów rocznych, przyjęta na Międzynarodowej Konferencji Pracy w Genewie w czerwcu 1936 r., mówi jeszcze o roku nieprzerwanej służby (*un an de service continu)* jako o warunku nabycia prawa do urlopu wypoczynkowego, o tyle przyjęte na tej samej sesji (XX) zalecenie w tej samej sprawie mówi już dosłownie, że „prawo do urlopu powinno być nabywane po jednorocznym okresie pracy, pełnionej u tego samego *lub u kilku pracodawców*" i że „rządy poczynią konieczne starania, aby ciężary, wynikające z udzielenia urlopu, nie ciążyły jedynie na ostatnim pracodawcy". Francuska ustawa urlopowa z dnia 20 czerwca 1936 r., przyznająca w zasadzie prawo do urlopu wypoczynkowego po roku nieprzerwanej służby w tym samym zakładzie pracy *(après un an de services continus dans l'établissement),* nakłada równocześnie na Radę Ministrów obowiązek zapewnienia urlopu *„pracownikom, zatrudnionym w tych zawodach lub w gałęziach przemysłu, w których stosunek pracy nie trwa cały rok w jednym zakładzie pracy"*, czyli innymi słowy, w których pracownik zmienia w ciągu roku pracodawcą. Szesnaste rozporządzenie wykonawcze do niemieckiej ustawy o ustroju pracy narodowej *(Reichsgesetzblatt z 1936 r., I 454)* przewiduje delegację ustawodawczą, upoważniającą powiernika pracy do wydawania zarządzeń, nakazujących pracodawcom przemysłu budowlanego i innych przemysłów z budowlanym związanych, w których panuje zwyczaj krótkotrwałych stosunków pracy, obowiązek *zbierania w ciągu pewnego okresu odpowiednich kwot pieniędzy w celu zabezpieczenia prawa do urlopu wypoczynkowego pracownikom.* Belgijska ustawa urlopowa z dnia 8 lipca 1936 r., która przyznaje w zasadzie prawo do urlopu po roku służby u tego samego przedsiębiorcy *(après un an de service chez le même employer),* przewiduje, że rozporządzenie królewskie określi inne zasady nabycia prawa do urlopu w tych gałęziach przemysłu, w których praca posiada charakter sezonowy.

Jak widać z tego krótkiego wyliczenia, zasada, że prawo do urlopu wypoczynkowego powinno służyć także pracownikom niestałym, zdobyła sobie pełne prawo obywatelstwa w najnowszym ustawodawstwie urlopowym. Powstaje pytanie, w jaki sposób w poszczególnych państwach przezwyciężano trudności, wynikające z wypłaty wynagrodzenia za urlop pracownikom niestałym?

W tej mierze na razie przyjęły się dwa systemy: *system kas urlopowych,* który panuje we Francji, i *system znaczków i kart urlopowych,* panujący w Niemczech. W Belgii przyjęto system mieszany w zależności od życzeń zainteresowanych pracodawców. Istota obu systemów jest jednakowa. Polega na umożliwieniu zebrania w ciągu roku, poprzedzającego urlop pracownika, od jego pracodawców kwoty, stanowiącej wynagrodzenie za urlop. I w jednym i w drugim systemie pracodawca, zatrudniający pracownika niestałego, obowiązany jest do wpłacania przez okres zatrudnienia pracownika określonej składki, równającej się części wynagrodzenia za urlop, odpowiadającej okresowi zatrudnienia. Różnica polega na samym przeprowadzeniu zbiórki, na organizacji systemu wypłaty, wreszcie na większym lub mniejszym udziale w przeprowadzaniu zadania zainteresowanych pracodawców.

Czymże więc jest *kasa urlopowa?* Według prawa francuskiego jest to stowarzyszenie pracodawców, zatrudniających pracowników niestałych, zobowiązanych łącznie do zapłaty tym pracownikom wynagrodzenia za urlop, które zajmuje się gromadzeniem funduszów na wypłatę tego wynagrodzenia i podziałem ciężarów z tego wynikających na pracodawców w stosunku do liczby i czasu zatrudnionych przez nich pracowników. Funkcja kasy urlopowej jest prosta: zbiera pieniądze od pracodawców, wypłaca je pracownikom, którzy nabyli prawo do urlopu.

System kas w chwili obecnej panuje we Francji w szeregu gałęzi pracy, zabezpieczając prawo do urlopu wypoczynkowego milionom pracowników niestałych. I tak więc odpowiednie rozporządzenia Rady Ministrów wprowadziły kasy urlopowe do pracy w portach, w przemyśle budowlanym i na robotach publicznych, w niektórych przedsiębiorstwach transportowych oraz w przedsiębiorstwach fabrykacji ekwipunku wojskowego ze skóry. W kwietniu ub. r. został złożony w Izbie Deputowanych projekt ustawy, zmierzający do upowszechnienia systemu kas urlopowych na całe życie gospodarcze. Dobre doświadczenia, poczynione z kasami pozwalają bowiem mieć nadzieję, że dzięki temu systemowi mogą być usunięte także trudności, wynikające ze zmiany pracodawcy przez personel stały.

Jeżeli chodzi o wewnętrzną organizację kas i sposób wykonania przez nie swojego zadania, to ustawodawstwo francuskie pozostawia tutaj całkowitą wolność organizatorom, ustaliwszy jedynie obowiązek każdego pracodawcy należenia do kasy urlopowej, która uzyskała zatwierdzenie Ministra Pracy, oraz dając pracownikom bezpośrednie roszczenie wobec kasy o wypłatę wynagrodzenia za urlop, jeżeli pracodawca spełnił wobec kasy swoje obowiązki (t. j. wpłacił składkę), i roszczenie o odszkodowanie wobec pracodawcy, jeżeli ten zaniedbał spełnienia swoich obowiązków. Ustawa francuska pozostawia szczegóły realizacji wolnej inicjatywie i doświadczeniu patronatu francuskiego.

Jest rzeczą oczywistą, że okres wyczekiwania na urlop pracownika niestałego musi być nieco krótszy, niż okres wyczekiwania pracownika stałego. Trzeba wziąć pod uwagę stratę czasu, spowodowaną zmianą pracodawcy. W myśl tej zasady dla nabycia prawa do urlopu 15-dniowego (12 dni roboczych) robotnika portowego wystarczy, aby w roku poprzedzającym udzielenie urlopu przepracował co najmniej 180 dni. Robotnik budowlany musi wykazać 1600 godzin pracy itp. Udowodnienie wykonanej pracy następuje za pośrednictwem zaświadczeń, wydawanych w tym celu przez każdorazowego pracodawcę.

Istnienie kas urlopowych, które dla wykonania swoich zadań muszą posiadać odpowiedni aparat administracyjny, jest połączone z pewnymi dodatkowymi ciężarami dla pracodawcy. Musi on płacić składkę, która wystarcza nie tylko na wypłatę wynagrodzenia urlopowego pracownikom, lecz która pokrywa ponadto koszta funkcjonowania kasy urlopowej. Ogólna składka, jaka obowiązywała w Kasie Urlopowej Przemysłu Budowlanego Okręgu Paryskiego wynosiła 5,8% ogólnej kwoty płac, wypłacanych przez pracodawcę. Kasa ta skupiała w 1937 r. 5500 pracodawców, zatrudniających 180.000 pracowników.

Mniej kosztowny jest *system znaczków i kart urlopowych,* wprowadzony w przemyśle budowlanym w Niemczech. Jego podstawą jest współdziałanie poczty, która funkcjonuje tutaj jako organ zbierający od pracodawców pieniądze i wypłacający je następnie pracownikom, którzy nabyli prawo do urlopu. Urlop wypoczynkowy w przemyśle budowlanym niemieckim jest zresztą nie tak wielki: wynosi on po 32 tygodniach zatrudnienia 4 dni, a po 48 tygodniach 6 dni. Jedynie inwalidzi mają urlop o połowę dłuższy, a pracownicy młodociani dwukrotnie.

Otóż system niemiecki polega na tym, że pracodawca obowiązany jest kupować i nalepiać co tydzień w karcie urlopowej pracownika znaczki urlopowe równowartości 2% (względnie 3 lub 4 proc.). W czasie trwania stosunku pracy karta urlopowa pozostaje u pracodawcy. Natomiast po ukończeniu stosunku pracy pracownik otrzymuje kartę i przedkłada ją nowemu pracodawcy do dalszego lepienia znaczków. Po uzyskaniu prawa do urlopu, t. j. po osiągnięciu 32 lub 48 znaczków urlopowych, pracownik może otrzymać zebraną dla niego w ten sposób kwotę, jednak tylko w związku ze zwolnieniem od obowiązku pracy. Wypłata następuje na zasadzie podpisu karty urlopowej przez pracownika i przez pracodawcę na ręce pracodawcy, który następnie wypłaca pieniądze urlopowe pracownikowi po potrąceniu należności skarbu i instytucji ubezpieczeń społecznych. Pracownik, który pozostaje bez pracy, nie może tedy otrzymać pieniędzy. Osobne postanowienie daje prawo do zebranych pieniędzy pozostałej żonie lub dzieciom w razie śmierci pracownika.

System niemiecki jest niekosztowny. Poczta podjęła się wykonywania całej pracy manipulacyjnej bezpłatnie, gdyż odsetki od zgromadzonych kwot stanowią dostateczne wynagrodzenie. Jedyny koszt dodatkowy, jaki ponoszą pracownicy, to koszt kart urlopowych, który zresztą jest minimalny. System ten wykazał w ciągu półtoraletniego swojego funkcjonowania całkowitą przydatność. Zabezpiecza on obecnie prawo do urlopu wypoczynkowego dwu milionom przeszło robotników, zatrudnionych w przemyśle budowlanym i w przemysłach z budowlanym związanych oraz na robotach publicznych. Dzisiaj mówi się już o rozszerzeniu tego systemu na inne gałęzie produkcji.

Jak widzimy, prawo do urlopu wypoczynkowego pracowników niestałych nie jest już dziś utopią, lecz wchodzi na drogi realizacji. Rzecz jest warta trudu i państwa nie lękają się stwarzać całego systemu urządzeń techniczno-organizacyjnych, powoływać do życia całego szeregu zrzeszeń i instytucji, aby zadość uczynić istniejącej potrzebie. Wszędzie bowiem utorowała sobie drogę świadomość, że urlop wypoczynkowy pracownika nie jest urządzeniem natury prywatnej, chroniącym interesy prywatne, że natomiast jest on instytucją publiczną, której zadaniem jest ochrona i podtrzymywanie zdrowia fizycznego i duchowego oraz zdolności do pracy narodu.

Adam Andrzejewski

Książka o płacach pracowników m. st. Warszawy

W budżecie m. st. Warszawy na rok 1938/39 znajduje się kwota 77 milionów zł, przeznaczona na płace dla przeszło 22 tysięcy pracowników stałych, zatrudnionych w zarządzie administracyjnym stolicy, jej szpitalach, zakładach opieki społecznej oraz przedsiębiorstwach komunalnych. Ta wielka masa pracownicza jest niezwykle wdzięcznym materiałem dla badań nad zagadnieniem wysokości i zróżniczkowania zarobków urzędniczych i robotniczych, które to badania z kolei stanowić mogą podstawę do dalszych studiów, obejmujących gospodarcze i społeczne aspekty polityki płac, oraz uwydatniających wpływ szeregu czynników nieekonomicznych na jej kierunek. Pod tym względem milionowa Warszawa, będąca skupiskiem ogromnej ilości interesów ludzkich i punktem, w którym krzyżują się prawie wszystkie działające w kraju siły społeczne i polityczne, jest środowiskiem mogącym dostarczyć wielu interesujących obserwacji.

Z dwudziesto paro tysięcznej rzeszy pracowniczej stolicy, niespełna jedna czwarta, dokładniej 23,2%, zarabia poniżej 200 zł miesięcznie; największą masę stanowią zarabiający od 200 — 400 zł — jest ich 61,5%, natomiast już tylko 11,1% otrzymuje pensje od 400 — 600 zł, 2,3% od 600 — 800, 1% 800 — 1000 zł, a niecały procent ma pobory ponad 1000 zł. Cyfry te są ciekawe, jednakże pełnej wymowy nabierają dopiero jeśli zestawimy wynagrodzenia pracowników miejskich z układem zarobków ogółu pracowników najemnych stolicy, opłacających podatek dochodowy od uposażeń, emerytur i wynagrodzeń. Wygląda on następująco:

zarabiających od	125 — 200 zł	— 46%
" "	200 — 400 „	— 35%
" "	400 —1000 „	— 17%
zarabiających 1000 zł i więcej		— 2%

Jeśli porównamy te dwa zestawienia — warto przy tym zaznaczyć, że po wyeliminowaniu grupy zarabiających mniej niż 125 zł, których statystyka pod. dochodowego nie podaje, odsetek pracowników miejskich o wyższych płacach się zwiększy — widać, że zarobki zatrudnionych przez gminę m. st. Warszawy są sprawiedliwiej zróżniczkowane, niż ogółu najemników stolicy. Znacznie większa ilość pracowników miejskich grupuje się w klasie średniej od 200 — 400 zł, znacznie mniejsza w klasie niższej. — Również rzadsze są wypadki zarobków wyższych, ponad 400 zł.

Porównanie uposażeń pracowników miejskich z uposażeniami urzędników państwowych wypada na korzyść pierwszych w grupach niższych i średnich kategorii płac, jedynie urzędnicy państwowi od V grupy wzwyż są lepiej sytuowani, ale jest to wynikiem pamiętnej, antyspołecznej reformy płac w 1934 roku. W porównaniu z zarobkami wypłacanymi przez zakłady prywatne, urzędnik miejski m. st. Warszawy ma czasem niższe uposażenie, niż jego koledzy, pracujący w instytucjach znanych z specjalnie wysokiego poziomu płac zarobkowych, wyższe natomiast i to nieraz dość znacznie od przeciętnej płacy na rynku warszawskim.

Pomyślna sytuacja pracowników komunalnych wytworzyła się dopiero w latach powojennych. Poziom płac personelu miejskiego w r. 1914 był niższy zarówno od poziomu płac na terenie instytucji prywatnych, jak i państwowych np. koleje. O zdecydowanej poprawie w okresie niepodległości świadczy szereg cyfr: wskaźnik przeciętnych płac rocznych inżynierów zatrudnionych przez m. st. Warszawę wynosi 155 przy 1914 = 100, rysowników 136, kancelistów 159, woźnych 173 itd. — Czemu przypisać tak znaczny wzrost zarobków pracowników miejskich, tym charakterystyczniejszy, że wskaźnik kosztów utrzymania uległ w stolicy pewnej zniżce (dla rodziny robotniczej zniżka ta wynosi między 1914 a 1938 — 29%)? Odpowiedź na to pytanie wymagałaby szerokiego i bogato motywowanego studium. Tutaj warto jedynie zwrócić uwagę na czynnik, który odegrał rolę b. wielką, a mianowicie na zawodowe organizacje pracownicze i robotnicze. One to bez wątpienia przyczyniły się swoją postawą w największej mierze do podwyższenia płac ponad przeciętny poziom rynkowy, wykorzystując specyficzny charakter „pracodawcy", posiadającego dość giętkie możliwości finansowe z racji swego monopolicznego stanowiska.

Tezę tę potwierdza szczegółowa analiza płac w wydziałach administracyjnych Zarządu Miejskiego i w przedsiębiorstwach miejskich. Przedsiębiorstwa znacznie lepiej wynagradzają swych pracowników: wśród mężczyzn-urzędników zatrudnionych w przedsiębiorstwach 87% zarabiało powyżej 300 zł, w wydziałach administracyjnych zaledwie 65%. Jeszcze wyraźniej te różnice występują przy porównaniu zarobków robotniczych — 85% robotników przedsiębiorstw otrzymuje płace ponad 200 zł, tylko 46% robotników zatrudnionych przez wydziały znajduje się w tych samych warunkach. Zbiega się to z faktem, że przedsiębiorstwa miejskie są specjalnie podatnym terenem dla działalności organizacji zawodowych, a ciężar gatunkowy związków robotniczych jest znacznie większy niż urzędniczych...

Używałem wyżej określeń: „płace sprawiedliwsze", „sprawiedliwiej zróżniczkowane" itp. — oczywiście są one słuszne jedynie z bardzo ogólnego punktu widzenia interesów pracowników m. st. Warszawy, pominięte zostały natomiast wszelkie inne motywy społeczne i gospodarcze, choćby tak zasadnicze, jak niebezpieczne dla interesów najszerszych mas tworzenie się monopolistycznych wysepek wysokich płac, czy wpływ tego samego zjawiska na możliwości rozwoju gospodarczego (bardzo zresztą podobny do wpływu, jaki wywierają kartele produkcyjne i handlowe). Wątpliwości tych nie rozstrzyga również wydana przed paru tygodniami i datowana już na r. 1939 praca Jana Derengowskiego „Płace pracowników miejskich m. st. Warszawy", z której powyższe dane zostały zaczerpnięte [1]).

Jest to książka, która swym suchym tytułem oraz obfitością tablic i wykresów może na pierwszy rzut oka przestraszyć wielu czytelników, choć przejrzysty układ danych sprawia, że bogactwo interesujących danych nie ginie nawet dla tych, którzy nie lubią i nie potrafią czytać cyfr. Fakt, że praca Derengowskiego jest ciekawa dla laików, nie deprecjonuje bynajmniej jej wartości dla czytelników „poważniejszych". Mieści ona szereg cennych materiałów w postaci aneksów, „zawierających szczegółowe zestawienia płac pracowników miejskich m. st. Warszawy przed wojną oraz we wrześniu 1938. Ankieta Zarządu Miejskiego przeprowadzona w tym czasie uwzględnia nie tylko poszczególne kategorie pracownicze, ale również podział zarobków czy płac. Obok tego w załącznikach znajdują się materiały o zarobkach robotniczych i urzędniczych w szeregu zakładów przemysłowych i różnego rodzaju instytucjach prywatnych i publicznych na terenie Warszawy w tych samych dwu okresach czasu.

Te i wiele innych czynników sprawiają, że skromne przypuszczenie autora zawarte w przedmowie, iż zebrany przez niego materiał statystyczny, choć niekompletny, pozwoli ekonomiście czy też działaczowi społecznemu snuć właściwą argumentację dowodową, nie pozostanie tylko w sferze życzeń. — Zbyt wiele interesujących problemów w sobie kryje niewielka stustronicowa broszura.

---

[1]) Jan Derengowski „Płace pracowników miejskich m. st. Warszawy wczoraj i dziś". M. Arct. Warszawa 1939.

J. M.

Ambitna próba nowej poezji

Na marginesie twórczości poetyckiej J. Pietrkiewicza.

„Wiersze i Poematy" Jerzego Pietrkiewicza, które w ostatnim czasie ukazały się na półkach księgarskich, to produkt twórczości ciekawej, oryginalnej, a przede wszystkim młodej, ze wszystkimi złymi i dobrymi cechami młodości.

Przez wiele lat Skamander dzierżył niepodzielny rząd dusz w „rzeczpospolitej poetów". Ale nieprzebrana inwencja w dziedzinie formy, przebogate wzmożenie środków wypowiedzi i udatne przetransponowanie nowatorstwa obcego, nie szło w parze z rozwojem skali podejmowanej tematyki.

Szybko na lutni Lechonia zamarł czar wielkiego i wiele obiecującego talentu — przedsmak poezji monumentalnej, wyblakł tuwimowski witalizm; buntownicze dziwactwa „futurystów" zastygły z czasem w spokojny klasycyzm strof. Czegoś zabrakło w poezji skamandryckiej, czegoś nie stało u źródeł inspiracji, chyba postawy duchowej, moralnej odpowiedzialności za twórczość.

Nie mógł zastąpić tego braku ani płytki, nie zawsze szczery i naturalny witalizm, ani zdawkowa refleksyjność, ani młodopolska maniera psychologiczna — bytowa („kim jesteś Ty, co ten wiersz piszesz i moje nosisz nazwisko"). Dość że „Skamander", ów „wartko płynący potok", rozpłynął się szeroką i spokojną rzeką poprawnych epigonów i naśladowców.

Drugie wielkie wydarzenie na odcinku poezji polskiej lat ostatnich — awangarda, to raczej laboratorium eksperymentalne szkoły Peipera niż żywy wkład w twórczość poetycką. Awangarda zwielokrotniła w olbrzymim stopniu możliwości kontaktów punktów stycznych i zależności między różnymi światami zjawisk, zwiększyła nieporównanie rozpiętość metafor i elips, pomnożyła możliwości rytmiczne, słowem dała narzędzia, instrumenty, ale nie umiała ich użyć. Stworzono misterny aparat, ale nie potrafiono go uruchomić, ożywić tą „treścią gorejącą", która nie da się zamknąć w kanony żadnej poetyki. Błahość i pustka ostały się w kulisach martwego kunsztu.

Jeżeli dodamy do tego poetyckiego obrachunku, że wątki ludowe w poezji, które wskazywał „Czartak" zanikły niedosnute, że poezja społeczna nie wyszła — prócz Broniewskiego — poza komunał i szablon a awangarda lubelska i wileńska nie posunęły naprzód obiecujących zaczątków swego dorobku sprzed kilku lat, to stwierdzimy bezsprzecznie, że mimo żywych ciekawych osiągnięć poezji Polski Odrodzonej stoją jeszcze otworem niezdobyte obszary możliwości, czekające pionierów i nowatorów.

Na tym tle zrozumiałe są olbrzymie ambicje, burzycielski, rewolucyjny maksymalizm, jaki w różnych kierunkach przejawia się w najmłodszej poezji.

Jednym z tych, którzy kroczą świadomie do ambitnych celów, jakie sobie na tym odcinku wytknęli, jest Jerzy Pietrkiewicz, którego obszerny zbiór wierszy i poematów ukazał się niedawno. Linią przewodnią ambicji poetyckich Pietrkiewicza jest stworzenie nowej poezji bohaterskiej, poezji o wielkich ludziach i o wielkich zdarzeniach, o historycznej wielkości narodu i o jego przeznaczeniach. Powiązanie tej problematyki na skalę eposu z nowoczesnym środkiem artystycznej wypowiedzi, słowem związanie wielkiej treści z nowoczesną formą oto synteza, którą chce widzieć na swojej drodze.

Ewolucja, jaka się da niewątpliwie zauważyć w młodej, lecz zaznaczonej już trzema etapami poezji Pietrkiewicza — zmierza wyraźnie, coraz konsekwentniej, po linii nakreślonej powyżej.

Debiut poetycki „*Wiersze o dzieciństwie*" (1935), nosił charakter wybitnie egocentryczny. Był on jakgdyby likwidowaniem pewnego kompleksu; beztroskie dzieciństwo, przerwane przedwcześnie śmiercią rodziców, nie zdążyło wyżyć się w pełni w świecie marzenia i bajki, toteż nurtowało w duszy młodego poety, dopóki w wierszach nie nasycił się w pełni atmosferą minionego szczęścia.

Drugi tomik to poemat „*Prowincja*", ciekawy przedę wszystkim jako próba rehabilitacji epiki. Teoretycznie postulat powrotu do epiki wysunął już od kilku lat Czernik i szkoła autentystów z „Okolicy Poetów", ale w praktyce pierwszą po latach próbą tego rodzaju była niewątpliwie „Prowincja".

Pietrkiewicz z dużym talentem starał się wyczarować z szarych opłotków i sennych zaułków miasteczka nieuchwytną mistykę prowincji, prawdę spalających się namiętności i sentyment więdnących marzeń.

Trzecia wreszcie publikacja książkowa to „*Wiersze i Poematy*". Znajdujemy tam wybór wierszy i poematów z okresu kilku lat, na różnym poziomie i o różnej postawie poetyckiej. Jest ona jakby skrótem dotychczasowej twórczości, mamy tam i wiersze związane tematycznie z owym kompleksem dzieciństwa („Sekretarz gminny", „Straszna opowieść", „Rozmowa ze stryjem") i wiersze z okresu „Prowincji" („Działyń", „Smutny poemacik o Basi") i przede wszystkim wiersze z ostatniego już świadomego zamierzeń okresu. Przebija i tam pewien kompleks, żal za wsią i miasteczkiem porzuconymi dla Warszawy i lęk przed jakąś moralną odpowiedzialnością, skrupuły czy nie popełniło się zdrady („Co noc pośród latarni, szukam srebrnych kawiarni, myślicie może żem wasz? Że ten wiersz to przygoda, a to moja zagroda, w purpurowy owijam się płaszcz"). Ale ponad wszystkimi przebija już ambicja tworzenia wielkiej, bohaterskiej poezji.

Poeta pragnąłby nam podać „kamienny hełm patosu", chciałby się modlić romantycznym rapsodem „Wielkości — przyjdź Królestwo Twoje".

Wola wielkości staje w jaskrawym kontraście z codzienną rzeczywistością:

„Góry rosną, mówicie, morza szumią, mówicie,
Ale echa pogłuchły — puste tępe życie
Między głodną chałupą, a pijanym miastem
tragizm siejemy codzień, niech na chleb wyrasta".

Przejawem protestu, przejawem buntowniczych negacji jest „Elegia narodowa", „Tragiczna choć wolna młodość" i piękny, okolicznościowy wiersz „Litwa".

Najlepsze jednak osiągnięcia znaczą się niewątpliwię w dwuch poematach „Biało czerwona legenda" i „Wyzwolone Mity" (drukowane uprzednio pierwszy na łamach „Polski Zbrojnej", a drugi w „Prosto z Mostu").

Czar prawdziwej poezji splata się tam wielokrotnie z silnie znaczonym motywem ideologicznym:

„Granicami — rzekami
podzwaniają puklerze
Księżyc — władyka wznosi ramię
Stanic kresowych strzeże".

albo:

O, nie potrzeba takim wierszom kwiatów
Na grobie moim złóżcie miecza dźwięk,
Bo ja dziś wielkość widzę tylko z poematu
ostrogi hymnu wyostrzam o jęk.

O przyszła Polsko wyzwolonych mitów
gwiazd dosięgają twoje dumne szczyty
gwiazdami jesteś szeroka — szeroka
Gwiazdy? jakie ich mity? Błyszczą, lecą, dokąd?

Poezja patriotyczna przez wiele lat była obiektem grafomanii, ckliwego sentymentu i banalnych, zgranych akcesoriów.

Tutaj widzimy dążność do odrodzenia, przydania jej nowych blasków, świeżych barw. Ten cel został już w „Wierszach i Poematach" w dużej mierze zrealizowany.

Czy jednak poezja Pietrkiewicza zdoła otworzyć nowy rozdział w Poezji Polski Odrodzonej? Na to pytanie przedwcześnie dziś odpowiadać. Bo o ile całość ostatniego osiągnięcia literackiego J. Pietrkiewicza oceniamy pozytywnie, tym bardziej musimy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, grożące młodemu autorowi. Już w dotychczasowej jego twórczości widzimy zaczątki pewnej maniery. Zarówno mało szczęśliwe fragmenty „słowiańskie", jak i zbyt dziennikarskie traktowanie aktualności może spaczyć drogę, jaką obrał sobie omawiany poeta. Tyle już obiecujących talentów, tyle interesujących zapowiedzi zblakło już i zmarniało na przestrzeni ostatnich lat, że dopiero przyszłość pokaże, czy można będzie istotnie powiedzieć o tej poezji „oto się dzieje nowa pieśń".

ŻYCIE PROWINCJI

Stefan Papée

Nowy katechizm dla Lwowa

Kustosz Muzeum Historycznego Miasta Lwowa, dr Łucja Charewiczowa, wydała świeżo cenną pracę pt. *Historiografia i Miłośnictwo Lwowa.* Zestawia w niej sylwetki prawie wszystkich kronikarzy, gawędziarzy, historyków i miłośników Lwowa od aptekarza Jana Alembeka, który w 1618 roku ogłosił pierwszy opis historyczny Lwowa i zbiór materiałów do jego przeszłości, aż po nieznużonego Aleksandra Czołowskiego, który już od pół wieku stara się całą przeszłość Lwowa zgarnąć w swe zechłanne dłonie i dwie już generacje historyków inspiruje, strofuje, poucza, pragnąc być we wszystkich działach wiedzy o Lwowie wyrocznią i „arką przymierza".

Wśród tych portretów i sylwetek jest szereg nazwisk o rozgłosie ogólnopolskim, że wspomnę tylko z uczonych Ludwika Kubalę, Oswalda Balzera, Władysława Łozińskiego, a z literatów Kazimierza Chłędowskiego i Stanisława Wasylewskiego, obok Polaków są tu i zasłużeni Rusini, z czołową postacią Bohdana Janusza, samouka-entuzjasty, urzeczonego kulturą Polski, są i Niemcy, Ormianie, Czesi i Żydzi. Charewiczowa nie zapomniała prawie o nikim, doprowadzając swój przegląd do 1938 roku.

Nie mogła jednak zakończyć długiego rejestru jeszcze jedną, wyjątkowo ważną, pozycją, gdyż ta ukazała się równocześnie z jej książką. Nie zdążyła

omówić pracy *Lwów i Ziemia Czerwieńska*, powstałej z inicjatywy Sekcji Dydaktycznej Oddziału Lwowskiego Towarzystwa Historycznego, a ściślej mówiąc dzięki niestrudzonym zabiegom kierowniczki Sekcji dr Ewy Maleczyńskiej, upartego rzecznika piekącej potrzeby tego rodzaju opracowania.

Lwów i Ziemia Czerwieńska jest czwartym tomem cyklu Podręczników Regionalnych Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych. Poprzednio ukazały się kolejno: Stefana Papée *Wielkopolska Wczoraj i Dziś*, Karola Górskiego *Pomorze Wczoraj i Dziś*, oraz Romana Grodeckiego, Kazimierza Lepszego i Józefa Feldmana *Kraków i Ziemia Krakowska.*

Dr Ewa Maleczyńska, pisząc w 1933 roku w „Wiadomościach Historyczno-Dydaktycznych" recenzje z pierwszego podręcznika tego cyklu, zakończyła ją słowami: „życzyć tylko można innym dzielnicom Polski, aby rychło zdobyły się na analogiczne opracowania". Życzenie to było w odniesieniu do Lwowa tym usilniejsze, że na nową syntezę dziejów tej dzielnicy czekało się już prawie pół wieku.

Pierwszą syntezę, przeznaczoną dla szerokich warstw czytelników, dał jeszcze w 1894, z okazji Wystawy Krajowej, Fryderyk Papée, w książeczce pt. *Historia Lwowa.* Pojawiła się ona w drugim wydaniu w 1924, ciągle jako jedyna. O niej bardzo ciepło napisała w przeglądzie prac historyków Lwowa dr Charewiczowa jako o „prawdziwym katechizmie miłości grodu rodzinnego, za który po latach wielu w 1937 r. naukowa nagroda miasta Lwowa uwieńczyła Fryderyka Papée, w 80-lecie jego urodzin".

Ten katechizm, poczytny i szanowany, miał już jednak duże braki. Przecież od 1894 r. rozwinął się znacznie zasób wiedzy o Lwowie, uległy rewizji zapatrywania na wiele zagadnień, zaostrzył się separatyzm dziejów gospodarczych i kulturalnych, a przede wszystkim nowe warunki życia w Państwie Polskim utworzyły nowe punkty widzenia. Zjawiła się więc nagląca potrzeba nowego „katechizmu miłości grodu rodzinnego".

Do godności takiego katechizmu pretenduje obecnie zbiorowa praca Karola Maleczyńskiego, Tadeusza Mańkowskiego, Feliksa Pohoreckiego i Mariana Tyrowicza *Lwów i Ziemia Czerwieńska*, obejmująca dzieje całej już ziemi, doprowadzone do ostatnich zdarzeń, przynosząca wyniki najnowszych badań, ostatnie niejako słowo historii, tworzącej się w naszych oczach.

Dobór poważnych specjalistów, którzy podzielili się zagadnieniami politycznymi, omówienie kultury zostawiając wyjątkowemu jej znawcy Tadeuszowi Mańkowskiemu, zapewnił tej zbiorowej pracy dobry poziom naukowy. Umiłowanie przedmiotu badań ogrzało naukowe wywody ciepłem miłości do sławnego miasta i ziemi, pełnej chwały, dzieje zamknięto nawet rodzajem ślubowania wierności. Jak piszą bowiem autorzy książki: „Przed Ziemią Czerwieńską i jej sercem, Lwowem, ostatni okres żywych dziejów odrodzonego państwa postawił nowe zadanie i nowe posłannictwo. Ma ta dzielnica, którą zniszczenia wielkiego wstrząsu dziejowego pozbawiły wielu żywotnych sił i którą powrót do Macierzy kosztował całą plejadę twórczych jednostek na wszystkich polach — zerwać się do dalszej pracy nie tylko nad podniesieniem się z własnych zgliszcz wojennych, ale i nad wzbogaceniem całej ojczyzny w dobra duchowe i materialne, nieodzowne dla jej mocarstwowego stanowiska w świecie. Ziemia ta ma stać się źródłem mocy twórczej i bastionem kultury zachodniej przeciwko prądom, płynącym ze Wschodu. Kraj bohaterów kresowych wydać też musi z swego łona energicznych i śmiałych pionierów cywilizacji i postępu gospodarczego, którzy by odnowili na tych rubieżach znakomite tradycje handlu lewantyńskiego. Strzec wreszcie musi ta kraina czujnie i po wieczne czasy honoru żołnierskiego, zaklętego w krzyż Virtuti Militari, zdobiący herb jej stolicy".

Przytoczyłem zakończenie książki, bo ono oddaje najlepiej zamiary autorów podręcznika. *Lwów i Ziemia Czerwieńska* ma być przede wszystkim źródłem wiedzy dla przodowników - obywateli, dla nauczycielstwa i młodzieży o znaczeniu tej ziemi, ma mówić o świętych naszych prawach do gospodarowania na niej, ma ukazać, że przeszłość złączyła mieszkańców trzech województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego tak silnie z Polską i tyle dała przykładów możliwości zgodnego wspólnego pożycia, że nie ma takiej siły, która by mogła zburzyć ten piękny dorobek.

Niechże nowy podręcznik przestudiują dokładnie wszyscy, którzy bez należytej znajomości dziejów porywają się na rozstrzyganie obcych sobie spraw. Niech uczą się z niego nie tylko szacunku i miłości, ale i pełnego zrozumienia żywotnych potrzeb Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej.

Dla Lwowian nowy katechizm powinien stać się silną podnietą do podwojenia wysiłków. Po okresie przygnębienia, wyczerpania i zubożenia musi znów nadejść czas wytężonej pracy na każdym odcinku życia.

W pięknej książce o Lwowie pisał przed kilku laty z melacholią Stanisław Wasylewski: „Lwów jest dziś smutny. Dostarczył macierzy więcej, niż mógł i wszystko, czego odeń zażądała... Postradał na rzecz stolicy swą literaturę, opuścił skrzydła w teatrze, wyszarzał w prasie. Przetrwa, bo umie przetrzymywać. Natomiast z tym większą pasją pracuje na posterunku nauczyciela. Jeden jedyny przemysł lwowski jest w stanie kwitnącym: szkolny. Miasto, któremu tyle krwi upuszczono, uczy czytać dzieci nad Gopłem i Styrem, nad Notecią i Krakowską Wisłą. I to jest najpiękniejsze! Lwów—zdrów!"

Zdaje mi się, że nadszedł już czas, aby z defensywy przejść do ofensywy, aby nie pocieszać się wprawdzie ważną, ale nie najważniejszą i nie jedyną robotą w innych dzielnicach Polski, ale tu, na miejscu, wykazać ile ten zdrów-Lwów zrobić jeszcze może.

Planowane na rok 1940 wielkie uroczystości, w 600 rocznicę objęcia naszej ziemi przez Kazimierza Wielkiego, muszą unaocznić całej Polsce radosną prawdę o odrodzonym Lwowie.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Polska działalność dyplomatyczna w 1863—1864 roku

Zbiór dokumentów pod redakcją dra A d a m a N o w a k a, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tom I. Warszawa 1937. Wyd. Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Skład Gł. u Gebethnera i Wolffa. Str. LV+490+tablice.

Każda stanowiąca pewien okres rocznica zdarzeń dziejowych ożywia zainteresowanie nimi zarówno społeczeństwa, jak przede wszystkim uczonych. Przegrana i tragiczna w skutkach wojna powstańcza 1863/4 r. ma pod tym względem szczęście, bowiem jej rocznice znaczone są wyjątkową obfitością publikacyj, odnoszących się do historii tych pełnych dramatycznego napięcia wydarzeń. Żywo stoi nam w pamięci 50-ta rocznica powstania styczniowego, która dała nam szereg bezcennych publikacyj źródłowych i syntetycznych, a która stanowi pewnego rodzaju przełom w stosunku naszym do 1863 r. Obserwujemy dziwne zjawisko: renesans epoki, renesans zdawało się ostatecznej klęski, jaką poniosła wtedy irredenta polska, przegranej, która stała się źródłem mocy duchowych, źródłem jakże bogatych doświadczeń dla przygotowujących nowe wystąpienie zbrojne Józefa Piłsudskiego oraz jego wyznawców i uczniów.

Obchodzona w roku ubiegłym 75-ta rocznica powstania styczniowego przeżywa podobne zjawisko. Zwołana w styczniu konferencja historyków podsumowała dotychczasowe wyniki i postawiła szereg dezyderatów w dziedzinie prac badawczych. A wiele cennych prac monograficznych i źródłowych znaczyć będzie zainteresowanie tym wyjątkowym zjawiskiem dziejowym społeczeństwa i nauki.

Wśród publikacji dotychczasowych na czołowe miejsce wysuwa się wydany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w opracowaniu znakomitego znawcy epoki dra Nowaka zbiór dokumentów, dotyczących polskiej działalności dyplomatycznej w latach 1863 i 1864. Tom I, jaki ukazał się w roku bieżącym, zawiera instrukcje, odezwy i traktaty Rządu Narodowego oraz korespondencję Wydziału Spraw Zagranicznych z głównym agentem dyplomatycznym w Paryżu — Władysławem Czartoryskim. Mamy w nim 128 dokumentów(z których obecnie 2/3 ogłoszonych po raz pierwszy), objaśnionych i zaopatrzonych w regestry przez wydawcę. Całość poprzedza jego wstęp, charakteryzujący dotychczasowe publikacje źródeł, oraz wnikliwa rozprawa o polskiej polityce zagranicznej w 1863/4 r.

Nie miejsce tu na szczegółową analizę całego tego materiału, który każdy badacz epoki oceni pozytywnie, nawet gdy zechce podejść doń krytycznie. Toteż jeśli zwrócę uwagę na pewne braki metodyczne, nie umniejszy to uznania, jakie należy się badaczowi, który podjął trud, aby do pewnego stopnia zrekonstruować „archiwum" spraw zagranicznych Rządu Narodowego 1863/4 r. I tu właśnie nasuwa się pierwsza wątpliwość. Wydawca choć we wstępie daje pobieżny przegląd dotychczasowych wydawnictw źródłowych epoki, pomija charakterystykę umieszczonych w swym dziele dokumentów, które przecież samym typem odbiegają dalece od tego, co rozumiemy przez dokument archiwalny. Przecież Wydawca nie rozporządzał systematycznie ułożonym zespołem akt, a musiał je gromadzić skrzętnie i z wielkim wysiłkiem z różnych zasobów drukowanych i rękopiśmiennych. Właśnie to przesądza o niekompletności całego zbioru dra Nowaka, przed czym powinienby nas przestrzec, choćby informując o zastosowanych przez siebie kryteriach edytorskich. Również sam układ materiału wydaje mi się niezbyt szczęśliwy. Zamiast dzielić go na dowolne, dość przypadkowe 4 działy, lepiej było zastosować układ chronologiczny, który w podobnych wypadkach braku jakiejkolwiek registratury ułatwia orientowanie się w zdarzeniach.

Mimo tych zastrzeżeń publikację dra Nowaka witamy z uznaniem. Szczególna wdzięczność należy się dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które sfinansowało to pożyteczne przedsięwzięcie, dając mu piękną szatę zewnętrzną. Oby tylko za tym I tomem jak najprędzej ukazały się następne.

Stefan Pomarański

Na marginesie

Z SEJMU

Pan Premier Składkowski ma dziwny i cenny dar polemiczny: najbardziej rozpędzonego jeźdźca potrafi łagodnym słówkiem osadzić na miejscu. Zdolność ta rodzi się zapewne z wrodzonej czy wyrobionej obojętności na słodki czad retorycznego frazesu. Jeździec, który rozpędził się do ataku, licząc na sugestywne znaczenie retoryki, nie znajdując na tym odcinku oporu, naraz znajduje się na ziemi, skazany na walkę w zakresie spraw stawianych prosto i realnie. W rezultacie zwykle okazuje się do tej walki niedostatecznie przygotowany.

W dotychczasowej fazie dyskusji budżetowej dotyczyło to w wielkiej mierze spraw narodowościowych. Przedstawiciele mniejszości przyszli nastawieni na ton dyskusji bardzo zasadniczy i bardzo teoretyczny, zachowując się tak, jak gdyby dotykali punktów wstydliwych polityki polskiej. Po odpowiedzi Premiera, nic nie pozostało z rzekomej wstydliwości zagadnienia. Obowiązek Rządu czuwania nad tym, by zagadnienia narodowościowe, jak wszelkie zagadnienia wewnętrzne Państwa, pomieściły się całkowicie w ramach troski o wewnętrzną spójność i spokój w Państwie — był postawiony jasno, bez zażenowania i — co płynie w konsekwencji z jasności postawienia sprawy — bez sprzeciwu ze strony przedstawicieli mniejszości. W rezultacie z długiej dyskusji w sprawie ukraińskiej pozostaje jako ton zasadniczy odwołanie się do zdrowej opinii „trzeźwych kół ludności polskiej i ukraińskiej“, ze stwierdzeniem, że „dalsza realna i sprawiedliwa polityka“ może być budowana tylko na „trzeźwej opinii społecznej obydwu narodów, zmuszonych od wieków i na zawsze do współżycia w państwie polskim na wspólnej ziemi“. Formuła ta zapewne nie odpowiada ani wszystkim Ukraińcom, ani wszystkim Polakom Ziemi Czerwieńskiej. Jednakże formuły polityczne, płynące z poczucia odpowiedzialności, mają to do siebie, że zasadniczo muszą brać pod uwagę element trzeźwy, niesklonny do nadmiernych upojeń.

Dyskusja przyniosła również i pewne uplastycznienie sprawy żydowskiej. Można by ująć to uplastycznienie w słowach, że nie jest zamierzeniem polskiej polityki ani rządowej, ani społecznej, czynienie Żydom na złość i pogarszanie ich i tak nieszczególnej sytuacji. Równocześnie jednak Polska nie może ani przyjąć na siebie odpowiedzialności za wszystkie nieszczęścia, jakie gdziekolwiek na kuli ziemskiej spadają na Żydów, ani zaniedbać realnych środków w zakresie uporządkowania tej sprawy na własnym terenie w jedyny sposób, jaki odpowiada istotnie interesom polskim, to jest przez wytworzenie warunków masowej emigracji żydowskiej z terenu Rzeczypospolitej.

Dyskusja ta powinna być uzupełniona jednak jeszcze przez dostatecznie silny akcent na niesporny fakt, że państwa, które zmagazynowały w swych rękach ogromne obszary, często niemal zupełnie bezludnej, a nadającej się do zamieszkania ziemi — nie mają prawa do humanitarnej deklamacji na tematy zagadnienia żydowskiego przynajmniej tak długo, jak długo nie otworzą szeroko wrót dla masowej emigracji żydowskiej na znajdujące się w ich rękach tereny.

WE FRANCJI I W POLSCE

Na temat stosunków francusko-polskich pisze się dzisiaj we Francji bardzo dużo. Pisze się czasem z żalem pod adresem rządu francuskiego, częściej pod adresem Polski, niemal zawsze bez dostatecznej znajomości sprawy.

Cechą uderzającą i częstą jest natomiast w znacznej części prasy francuskiej zupełna nieprzyzwoitość zarówno tonu, jak treści, w sposobie przedstawiania realnych spraw, dotyczących Polski. Jeżeli np. dziennikarz francuski pisze w poczytnym piśmie („Le Matin“, Nr. 56), że pierwszym od razu wrażenie, jakie otrzymuje po przyjeździe do Lwowa, jest przekonanie się o tym, że jest to miasto ...ukraińskie, to dla zrównoważenia tego rodzaju bredni, jeśli dalej informuje o 6 milionach Ukraińców w Galicji, o stosunkowo liberalnych rządach austriackich na terenie Galicji... Wołynia i Polesia, trzeba byłoby chyba w prasie polskiej zamieszczać korespondencje, w których stwierdzałoby się włoski charakter Lyonu, czy Marsylii.

W danym wypadku nie chodzi tylko o głupotę i bezczelność jednego dziennikarza. Istota zagadnienia polega na tym, że w Polsce może występować w pewnych wypadkach niezadowolenie z takich, czy innych posunięć polityki francuskiej. Niezadowolenie to jednak nie przyjmuje na ogół charakteru chęci szkodzenia na jakimkolwiek odcinku realnym interesom Francji. Żaden dziennikarz polski, ani przez głupotę, ani za pieniądze brane od przeciwników Francji, nie będzie stawiał przed sobą za cel prowadzenie akcji systematycznej i złośliwie potwarczej przeciwko Francji. Po drugiej stronie mamy prawo domagać się podobnego stosunku.

Piszemy o tym nie dlatego, byśmy chcieli w czymkolwiek nastrajać opinię polską przeciwko Francji. Trzeba jednak, by w państwie tym, pozostającym z Polską w stanie nie tylko formalnego sojuszu, lecz i zasadniczej zbieżności interesów — znalazły się jakieś czynniki, które miałyby samopoczucie faktu, że dziennikarz, który dla takich czy innych powodów zajmuje się zawodową i paszkwilancką akcją przeciwko Polsce, prowadzi tę akcję również i przeciwko Francji. Stan zaś społeczeństwa, w którym nie ma ani prawnych, ani moralnych środków do powstrzymania tego rodzaju działalności prasowej, byłby wysoce smutny i niepokojący.

»PIEMONT« UKRAIŃSKI

W prasie zagranicznej niejednokrotnie spotyka się artykuły, w których pisze się o Rusi Zakarpackiej, jako o ukraińskim Piemoncie.

Samo zestawienie tego rodzaju pojęć jest niezmiernie charakterystyczne i z gruntu fałszywe. Piemont był najaktywniejszą częścią terytorium przyszłego państwa włoskiego. — Ruś Zakarpacka, czemu nie zaprzeczy żaden Ukrainiec, jest najbiermiejszym pod każdym względem, najuboższym w siły zarówno polityczne, jak intelektualne, zakątkiem całego ogromnego terytorium, na którym w mniejszych czy większych skupieniach występuje ludność ukraińsko-ruska.

Mianowanie tego rodzaju ośrodka na swoistego zupełnie typu „Piemont“ jest niesłychanym pomniejszeniem istoty zagadnienia ukraińskiego. Ze sprawy rosnącego w siły i skupionego na wielkim terytorium Narodu czyni sprawę tylko międzynarodowej intrygi. Tego rodzaju stan nie leży w niczyim interesie, przede wszystkim nie leży w interesie samego narodu ukraińskiego i jego politycznych dążeń i aspiracji.

NAGRODY LITERACKIE

Nagrodę państwową w dziale literatury otrzymał Artur Górski. Wybór Laureata przez wszystkie koła przyjęty był z głębokim zadowoleniem. Minister W. R. i O. P., wręczając przyznaną nagrodę, motywował jej przyznanie, kładąc nacisk na to, że jest ona między innymi nagrodą za „twórczość lat ostatnich, poruszającą podstawowe zagadnienia współczesnego życia polskiego w sposób głęboki, rzetelny i niezależny“.

W kilka tygodni później nagrodę literacką „młodych“, udzielaną przez Polską Akademię Literatury, otrzymał inny pisarz „niezależny“ — Jerzy Andrzejewski. I znowu wybór kandydata spotkał się z mniej więcej ogólnym uznaniem.

Na marginesie obu wyborów pragniemy jedynie uczynić drobną uwagę. Niejednokrotnie w sposób wysoce przesadny pisze się o uzależnieniu polskiej literatury i polskiej kultury od czynników urzędowych. Wybór obu nagrodzonych, podobnie jak oficjalne motywy nagrodzenia pierwszego — świadczyłyby, że — szczególnie w porównaniu do stanu znacznej liczby innych państw Europy — zagadnienie to przedstawia się u nas znacznie lepiej, niżeli wynikałoby to z niektórych głosów alarmistów.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Daleki Wschód—Panamerykanizm—Europa Środkowa

(z. d.) Pierwsza faza konfliktu japońsko - chińskiego została już zakończona. Po odcięciu armii Czang-Kai-Szeka od portu Hong-Kong, przez który otrzymywała z zagranicy materiał wojenny, nie należy spodziewać się większych walk. Japończycy opanowali gorspodarczy rdzeń Chin i nie mają powodu posuwać się dalej w głąb kraju, a wódz niepodległych Chin nie ma już możności rozpocząć działań zaczepnych na większą skalę.

W zajętych prowincjach Japończycy przystąpili do dzieła odbudowy gospodarczej. Na Północy, której opanowanie było początkowym celem akcji japońskiej, powstały już japońsko-chińskie towarzystwa dla eksploatacji bogactw naturalnych. Szanghaj zaczyna powracać do życia, zakłady przemysłowe, które nie uległy zniszczeniu, w pierwszym rzędzie fabryki włókiennicze, pracują jak za najlepszych czasów, elektrownia otrzymuje nowe zamówienia na energię i prąd dla oświetlenia. Oczywiście ten częściowy powrót do dawnych, „dobrych" czasów, jest tylko przejawem inercji środowisk gospodarczych i niebawem będzie musiał wejść w ramy „nowego ładu", który powstanie na miejscu starego.

Mając przed sobą zadanie stworzenia tego nowego ładu, Japonia stoi na rozdrożu. W kołach rządowych i gospodarczych ścierają się dwie koncepcje gospodarczej rozbudowy podbitych ziem. W myśl jednej, inspirującej się ideami gospodarki autarchijnej, Chiny są tak bogatym zbiornikiem surowców przemysłowych i produktów żywnościowych, Japonia zaś tak rozwiniętym i zróżniczkowanym aparatem przemysłowym, że gospodarczy kompleks japońsko-chiński może się obejść bez pomocy zagranicy. Zwolennicy drugiej koncepcji twierdzą znów, że nie jest to pewne, a pomijając możliwość czy niemożliwość realizacji autarchii japońsko - chińskiej, dowodzą, że realizacja jej byłaby w każdym razie gospodarczo i politycznie mniej korzystna od współpracy z zagranicznymi ośrodkami gospodarczymi. Przedstawiciele rządu japońskiego w oświadczeniach swych, przeznaczonych specjalnie dla zagranicy, mówią o konieczności dostosowania ducha i litery traktatów dalekowschodnich do nowej sytuacji gospodarczej i politycznej, jaka powstanie w Chinach. W jaki sposób te traktaty, m. in. określające udział mocarstw w życiu gospodarczym Chin, zostaną dostosowane do nowej sytuacji, to będzie właśnie zależało do tego, która z dwóch wyżej wspomnianych koncepcyj ostatecznie zwycięży.

Na rozdrożu stanęły również w swej dalekowschodniej polityce mocarstwa zachodnie. W Stanach Zjednoczonych, Anglii i Francji rozważa się teraz pytanie, czy nadal należy w miarę posiadanych środków tamować akcję Japonii w Chinach, czy też należy definitywnie uznać fakt dokonany zmiany sytuacji i starać się wyciągnąć maksimum korzyści z tej nowej sytuacji przez przyjazną współpracę z Japonią. Stanowisko mocarstw zachodnich w stosunku do Japonii zależeć będzie oczywiście i od tego, jaki to nowy ład Japonia zdecyduje się wprowadzić w Chinach. Naodwrót, w decyzjach Japonii tendencje mocarstw zachodnich mogą odegrać dużą rolę, wzmacniając lub osłabiając pozycję zwolenników autarchizmu japońsko - chińskiego. Sytuacja na Dalekim Wschodzie może więc w swym wyrazie międzynarodowym rozwinąć się w rozmaitych kierunkach, może nawet w kierunku obecnie zupełnie nie oczekiwanym.

*

Ósma Konferencja Panamerykańska, która odbyła się w Limie, obradowała pod znakiem grożących Ameryce od strony Niemiec, Włoch i Japonii niebezpieczeństw. Niebezpieczeństwa te, pod postacią infiltracji wpływów politycznych, jak dowiodły tego pucze w niektórych państwach Ameryki Południowej, są bezpośrednie i aktualne. Pod względem militarnym może być mowa o zagrożeniu Ameryki jedynie w odniesieniu do przyszłości. Jest to zagadnienie narazie tylko teoretyczne.

Niemniej, jeśli chodzi o atlantycką stronę obu Ameryk, niebezpieczeństwo zbrojnej napaści w ostatnich czasach znacznie się zbliżyło. Jak dotychczas, Anglia i Francja, położone między Ameryką a Niemcami i Włochami, uchodziły za niewzruszoną barierę, za którą Ameryka żyła spokojnie i beztrosko. Kryzys czechosłowacki dowiódł natomiast, że ta bariera jest niedość mocna, że wymaga podparcia ze strony Ameryki, jeśli nie ma się załamać pod naciskiem obu mocarstw totalnej „osi", którym sekunduje Tokio, zagrażające obu Amerykom na Pacyfiku. Przy tym ostatnie wydarzenia międzynarodowe potwierdziły, że parcie ku koloniom, parcie ku atlantyckim wybrzeżom Afryki, jest jedną z zasadniczych linij polityki zagranicznej Niemiec i Włoch. Jeśli więc bezpośrednio, aktualnie, Ameryka nie może się uważać za zagrożoną przez mocarstwa „trójkąta Berlin-Rzym-Tokio", to jednak sytuacja międzynarodowa zmusza ją już teraz do przygotowywania obrony na przyszłość. W tej myśli Stany Zjednoczone wystąpiły na Konferencji w Limie z projektem konkretnej organizacji tej obrony przez stworzenie wszechamerykańskiego organu koordynacyjnego.

Lecz znane są z drugiej strony tendencje Stanów Zjednoczonych do wykorzystania ruchu panamerykańskiego dla zdobycia gospodarczej i politycznej hegemonii w obu Amerykach. Stany Zjednoczone posiadają wśród państw amerykańskich tak wielką przewagę gospodarczą i militarną, że gdyby istniał jakiś jednolity i sztywny organizm koordynacyjny, czuwający nad bezpieczeństwem obu Ameryk, to organ ten w rezultacie, chroniąc Amerykę Południową i Środkową przed niebezpieczeństwami od strony Niemiec, Włoch i Japonii, mógłby je poddać hegemonii Stanów Zjednoczonych. Dlatego też projekt Stanów Zjednoczonych stworzenia takiego organu spotkał się w łonie Konferencji z silną opozycją, szczególnie ze strony Argentyny, która, będąc gospodarczo i militarnie najsilniejszym państwem Ameryki Południowej, posiadając największą w Ameryce Południowej stolicę, dąży ze swej strony do zdobycia dominującego, kierowniczego stanowiska wśród republik południowo - amerykańskich. Ostatecznie, projekt Stanów Zjednoczonych został przez Konferencję w swej sztywnej postaci odrzucony, ustępując miejsca takiej koncepcji solidarności amerykańskiej, która pozostawia poszczególnym państwom pełną swobodę działania.

Rezolucja końcowa Konferencji pod innym jeszcze względem nie poszła po linii polityki Stanów Zjednoczonych. Forsowały one projekt rezolucji, który zawierał ostre wypowiedzenie się przeciwko polityce światopoglądowej, wewnętrznej i zagranicznej, państw totalnych. Otóż tutaj osiągnięcie porozumienia między Stanami Zjednoczonymi i republikami południowo - amerykańskimi i środkowo - amerykańskimi okazało się wręcz niemożliwe, a to ze względów doktrynalnych. Stany Zjednoczone rządzą się istotnie demokratycznie, tendencje totalistyczne uważają za niebezpieczeństwo dla moralnego dobra ludzkości, w pierwszym rzędzie społeczeństw amerykańskich. Tymczasem w republikach środkowo i południowo-amerykańskich nigdy prawdziwej demokracji nie było, są one prawie zawsze rządzone przez jakąś grupę, dochodzącą do władzy w drodze gwałtu, przy pomocy wojska. Ideologie totalistyczne mogą być świetnym teoretycznym uzasadnieniem istniejących od dawna w Ameryce Południowej i Środkowej tendencyj lub wręcz faktycznych stanów. Trudno więc było oczekiwać, że państwa południowo i środkowo-amerykańskie wypowiedzą się przeciw ideologii państw totalnych europejskich.

Wchodziły również w grę w Limie względy natury gospodarczej, które wyzyskiwali niemieccy i włoscy obserwatorzy dyplomatyczni, czyli agenci polityczni. Podobno na tle podsycanych przez agentów państw totalnych rozbieżności między Stanami Zjednoczonymi i pozostałymi amerykańskimi republikami, te ostatnie ubiły doskonałe interesy handlowe z mocarstwami totalnej „osi". Ostatecznie więc rezultat Konferencji w Limie jest w stosunku do zamierzeń Stanów Zjednoczonych dość nikły, ma pewne znaczenie amerykańskie moralne, lecz wątpliwe czy wyda natychmiastowe antytotalne efekty międzynarodowo - polityczne.

*

W Europie Środkowo - Wschodniej zwracają na siebie uwagę incydenty słowacko-węgierskie i sprawy wewnętrzne w Rumunii. Pomijamy tutaj incydenty, wywoływane przez czynniki czeskie na odcinku spraw polsko-czechosłowackich, gdyż wykraczają one poza zakres tematów Notatnika Zagranicznego.

Incydenty słowacko-węgierskie dały asumpt oficjalnej „Diplomatisch Politische Korrespondenz" w Berlinie do niezmiernie znamiennych komentarzy. Organ Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy konstatuje w jednym ze swych ostatnich biuletynów, że w Słowacji i na Węgrzech „wyraża się otwarcie pragnienie zmiany istniejącej obecnie granicy. Wszystko to nie odpowiada duchowi arbitrażu wiedeńskiego". Przeciwko takiemu twierdzeniu nikt oczywiście nie może sformułować zastrzeżeń, lecz inaczej sprawa się przedstawia, gdy organ Wilhemstrasse nawołuje Węgry i Czechosłowację do „respektowania" tego arbitrażu i twierdzi w tonie stanowczym, że „Niemcy i Włochy oczekują, aż arbitraż ich wypełni funkcję, która mu została przeznaczona".

Ze słów tych widać, jak Niemcy wyobrażają sobie znaczenie wiedeńskiego rozwiązania sprawy granicy czechosłowacko-węgierskiej. Ojczyzna koncepcyj dynamicznych, ojczyzna Geopolityki, nauki o wiecznie ruchomych granicach, staje się tu rzecznikiem politycznej statyki, zajmuje stanowisko genewsko - paryskie, w myśl którego układy polityczne są najwyższą racją i modelarzem życia politycznego. Pozatem w cytowanym biuletynie Diplomatisch Politische Korrespondenz występuje dość dziwny sposób ujmowania pojęcia arbitrażu politycznego między dwoma suwerennymi państwami. Orzeczenie arbitrów, czy to w polityce, czy w prawie prywatnym, jeśli jest przyjęte, to jest oczywiście prawnie obowiązujące i stwarza definitywne fakty; jeśli ktoś w rezultacie arbitrażu ma oddać komuś morgę ziemi, to ją oddaje. Lecz w żadnym razie oddanie tej morgi ziemi nie oznacza, że jej poprzedni posiadacz zobowiązuje się raz na zawsze nie dążyć do jej odzyskania; tak samo w żadnym razie arbitrowie nie mogą się d o m a g a ć, aby ich orzeczenie było respektowane. Arbitraż w stosunku do dwóch państw suwerennych nie może implikować podobnych zobowiązań, gdyż oba państwa suwerenne nie mogą być poddane żadnym prawnym presjom. Ich postanowienia są w porządku prawnym wyrazem ich swobodnej decyzji. Aluzyj, zawartych w biuletynie Diplomatisch Politische Korrespondenz nie można więc inaczej rozumieć, jak jako jeden jeszcze przejaw tendencji Niemiec do zajęcia w basenie naddunajskim stanowiska ponadsuwerena.

Tendencje te są oczywiście od dawna widoczne. Im to trzeba przypisać daleko idące ożywienie na odcinku spraw politycznych w strzegącej ujścia Dunaju Rumunii. Śmierć wodza nieistniejącej już Żelaznej Gwardii była dramatycznym i mało sympatycznym przejawem tego ożywienia; utworzenie ugrupowania politycznego pod nazwą „Frontu Narodowego" jest ostateczną narazie konsekwencją dokonywującej się u naszej sojuszniczki ewolucji. Nazwa tego ugrupowania wywołuje niezbyt optymistyczne porównania ze stworzonym swojego czasu w Austrii Frontem Patriotycznym, który również miał za zadanie przeciwstawić się dążeniom narodowo-socjalistycznym. Okazało się jednak przy Anschlussie, że lwią część Frontu Patriotycznego stanowili ukryci ze względów oportunistycznych narodowi socjaliści z przeko-

nania i dążenia. Oby więc rumuński nowy Front nie okazał się w jakiejś chwili przesycony ukrytymi elementami żelazno - gwardzistowskimi.

W basenie naddunajskim mnożą się więc oznaki niemieckiego parcia imperialistycznego. Równocześnie, zarówno na Węgrzech, sądząc z jednej strony po incydentach, z drugiej po głośno manifestowanych tendencjach „osiowych", jak i w Rumunii, sądząc po wstrząsach wewnętrznych, sytuacja pozostaje ciągle w stadium niezdecydowania względnie niepewności.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Gdyńskie bezrobocie

(aa) Powszechnie znane były kłopoty władz gdyńskich z napływającymi bezustannie masami bezrobotnych z całej Polski. Dziś ogólna poprawa koniunktury, powstanie wewnątrz kraju szeregu atrakcyjnych ośrodków przemysłowych o dużej dynamice rozwojowej zahamowały nieco i przerzedziły ciągnące w poszukiwaniu zatrudnienia pielgrzymki. Przybrały natomiast na sile procesy nieco innego charakteru, ale o podobnych skutkach. Dopóki Gdynia była miastem niewielkim, o zmiennym składzie ludności i nieustabilizowanych warunkach życia rodzinnego, dorastająca miejscowa młodzież nie grała na rynku pracy prawie żadnej roli. Dziś sytuacja się zmieniła. Stukilkodziesięciotysięczna, zróżnicowana wiekiem, osiadła i zorganizowana masa mieszkańców wyrzuca co roku tysiące młodzieży pragnącej pracować. Młodzież ta musi znaleźć pracę, nie pójdzie ona nigdzie z Gdyni, gdyż związana jest z nią węzłami rodzinnymi, posiada na miejscu nie wystarczające, ale w każdym razie jakieś oparcie.

Te przemiany demograficzne wespół z poprzednio omówionymi procesami sprawiają, że problem bezrobocia w Gdyni jest nadal nadzwyczaj ostry i wymaga zasadniczego rozwiązania. Nie pomogą tu ani doraźne akcje pomocy, ani nowe zarządzenia administracyjne. Pozostaje właściwie tylko jedna droga — uprzemysłowienie miasta. Gdynia w tej chwili w swym dotychczasowym rozwoju dosięga punktu przełomowego. Port rozwija się nadal, ale wzrost obrotów następować będzie w znacznie wolniejszym tempie, związanym już nie z możliwościami technicznej rozbudowy aparatu przeładunkowego, lecz z rozwojem gospodarczym kraju. Oparta o port struktura handlowa miasta posiada jeszcze ogromne luki, ale nawet największy jej rozwój nie stworzy możliwości masowego zwiększenia zatrudnienia. Dla potrzeb mieszkańców pracujące dobrze zakłady przemysłowe i rzemieślnicze rozwijać się będą raczej w kierunku racjonalizacji metod produkcji. Handel wewnętrzny jest ilościowo na ogół wystarczający itd. itd.

W tych warunkach rozwiązanie problemu bezrobocia w Gdyni może nastąpić, powtarzam, jedynie przez uprzemysłowienie miasta. Przemysł wchłonie bezrobotnych, mieszkających w nędzy gdyńskich przedmieść — w przeróżnych Obłużach, Chyloniach i Witominach — i rozbudzi nowe możliwości rozwojowe Gdyni. W tym zresztą kierunku idą prace przygotowawcze — buduje się kanał przemysłowy, wokoło którego zgrupują się w przyszłości zakłady wytwórcze, powstały już stocznie, opracowuje się system ulg podatkowych dla inwestycyj przemysłowych, predystynowanych do rozwoju w oparciu o warunki dostarczane przez miasto portowe. Kierunek jest więc wytknięty, — idzie o szybkość marszu!

Celowo podszedłem do problemu uprzemysłowienia Gdyni od strony społecznej — rozwiązania zagadnienia bezrobocia. Jest to strona najmniej chyba popularna, choć w rzeczywistości gdyńskiej nadzwyczaj ważna. Trzeba bowiem sobie szczerze powiedzieć, że największa bodaj w Polsce rozpiętość warunków życiowych, ogromna masa niedopuszczalnych kontrastów socjalnych stwarza w Gdyni warunki specjalnie sprzyjające do powstawania wszelkich zamieszek, a równocześnie Gdynia jest zbyt węzłowym punktem naszego układu gospodarczego, aby można było dopuścić do narastania na jej terenie zadrażnień społecznych, mogących się zamienić w każdej krytyczniejszej chwili w niszczące walki.

Nowa ustawa kartelowa

(aa) Omawiając wniesiony przez rząd do izb ustawodawczych projekt ustawy kartelowej, wprowadzającej szereg zasadniczych zmian, warto przypomnieć historię tych punktów, które w porównaniu z dotychczasową praktyką doczekały się odmiennych sformułowań. Ustawa kartelowa z 1933 r. w razie działalności kartelu na szkodę publiczną dozwalała Ministrowi Przemysłu i Handlu wnieść skargę do Sądu kartelowego. W razie udowodnienia winy następowało rozwiązanie kartelu. Znowelizowanie ustawy w 1935 r. zapewniło władzom państwowym ściślejszy nadzór nad wszelkiego rodzaju umowami kartelowymi, oraz oddało bezpośrednio w ich ręce możność rozwiązywania karteli. Sąd kartelowy służył już tylko jako instancja odwoławcza od decyzji Ministra Przemysłu i Handlu dla „poszkodowanych". Charakterystycznym przyczynkiem do naszej rzeczywistości kartelowej jest fakt, że z wielu rozwiązanych jako szkodliwych dla dobra publicznego karteli, ani jeden nie próbował bronić swej „czci" i skorzystać z przysługującego mu prawa odwołania...

Złożony w Sejmie projekt nie tylko zatrzymuje dotychczasowe uprawnienie Ministra Przemysłu i Handlu w zakresie rozwiązywania umów kartelowych, ale rozszerza je i pozwala mu decydować o powstaniu kartelu. Zawiązanie nowego porozumienia kartelowego wymaga jego zgody, przy tym nie wystarcza, aby kartel nie był szkodliwy z punktu widzenia dobra publicznego — kartel musi mieć przed sobą wytknięte pozytywne cele, „odpowiadające interesom gospodarki narodowej". Należą do nich wymienione dla przykładu w projekcie takie zadania, jak rozwijanie wytwórczości i przerób surowców, specjalizacja i racjonalizacja produkcji, dokonywanie inwestycji, rozszerzenie zbytu, potanienie kosztów itp.. Jeśli kartel nie realizuje tych ogólnych założeń, może być rozwiązany przez władze, choćby poza tym działał zgodnie z przepisami ustawy.

Już to b. pobieżne streszczenie postanowień projektu charakteryzuje tendencje nowej ustawy. Oczywiście zamierzone wzmożenie ingerencji rządu w sprawy kartelowe spotkało się z manifestacyjnie okazywanym niezadowoleniem sfer wielko przemysłowych. Sugerują one, że genezy zaostrzenia prawa kartelowego szukać trzeba w niepowodzeniach, jakie spotkały lansowane w miesiącach letnich przez niektóre czynniki M.P. i H. t. zw. „zespoły przemysłowe" — projekty przymusowych samorządowych związków poszczególnych gałęzi przemysłu. Totalizacja życia gospodarczego oto zdaniem reprezentującej przemysł „Depeszy" ukryty cel nowej ustawy kartelowej, równoznaczny oczywiście z podporządkowaniem wszystkich przejawów tego życia „niekontrolowanej samowoli aparatu biurokratycznego".

Nie będę polemizował z argumentami przedstawianymi przez lewiatańskich popleczników. — Są one dostatecznie wyświechtane w wieloletnim użyciu. Istotne jest z nich jedynie stwierdzenie, że rząd po uchwaleniu projektu przez parlament i po jego wejściu w życie osiągnie w obecnych formach ustrojowych życia gospodarczego kres możliwości ingerencyjnych w dziedzinę umów kartelowych. Nowa ustawa kartelowa będzie instrumentem o szerokich możliwościach — ale tylko instrumentem. Od zdecydowanej postawy i roli dysponujących nią czynników będzie dopiero zależało, czy działalność związanego w formy kartelowe przemysłu wejdzie na tory pozytywne. Jeśli tak się nie stanie, jeśli nadal interes poszczególnych koncernów i grup przemysłowych będzie decydował, a paragrafy nowej ustawy, głoszące hasła nadrzędnego dobra społecznego, pozostaną papierową deklamacją, wówczas przynajmniej wyjaśni się sytuacja. Nikt nie będzie mógł się zasłaniać brakiem możliwości wpływania na politykę kartelową.

Metody popierania eksportu

(aa) Odpowiednie tło dla rozważań nad ustawą kartelową stanowią fakty podane w żywo przez Wojciecha Zaleskiego redagowanych „Nowych Wiadomościach Ekonomicznych". Miesięcznik ten w grudniowym numerze zajmuje się interesującym problemem niepomiernie niskiego eksportu naszych odlewni żelaza. Jest ich w Polsce ponad 100, a tylko 3, w tym jedna należąca do Huty Pokój, wywożą za granicę część swojej produkcji. Pozostałe nie są w stanie eksportować. Dlaczego tak się dzieje, zwłaszcza jeśli równocześnie eksport znacznie bardziej kosztami administracyjnymi i reprezentacyjnymi obciążonych hut przekracza sumę 80 miln. zł rocznie? Koszty robocizny w odlewniach powinny być również niższe, gdyż większość ich leży na terenach „Polski B" i „Polski C". Cóż więc wpływa na wzrost kosztów odlewni, uniemożliwiający eksport? „Wiadomości Ekonomiczne" odpowiadają: cena skartelizowanego surowca.

Odlewnie dla swej produkcji potrzebują nast. zasadniczych surowców: surówki, złomu i koksu. Za surówkę huty liczą odlewniom po zł 165 od tony loco huta. Włączając przeciętny fracht kolejowy w mp. 10 zł, odlewnia płaci za tonę surówki 175 zł, podczas gdy surówka kosztuje hutę zł 100. Licząc, że koszt surówki stanowi około 10% kosztów własnych wyrobu gotowego, można twierdzić, że obniżka ceny za tonę surówki ze zł 165 na zł 115 dałaby w rezultacie obniżkę ceny tony wyrobu o zł 5. Teraz drugi element: złom. Koszt złomu wynosi ok. 20% kosztu gotowego produktu. Sprowadza się go przeważnie z zagranicy. Dzięki skomplikowanemu łańcuchowi zorganizowanych pośredników, z których każdy zarabia, przepłaca się przeciętnie na tonie 10 zł. Przy złomie krajowym jeszcze jaskrawiej występuje upośledzenie odlewni. Huty płacą za tonę 45 zł, złom dla odlewni nie jest objęty tą taryfą. W rezultacie przeciętnie licząc odlewnie przepłacają kartelowi złomu na tonie ok. zł 50, co stanowi w stosunku do tony gotowego wyrobu zł 10.

Trzeci składnik: koks. Cena pobierana przez Związek koksowni od hut niewiele przekracza sumę 30 zł za tonę loco koksownia. Odlewnie muszą korzystać z usług hurtowników i płacą za tonę koksu loco koksownia już blisko 40 zł. Różnica 7,50 zł na tonie w porównaniu z ceną płaconą przez huty wynosi ok. 25% tej ceny. W przeliczeniu na koszt gotowego wyrobu oszczędność na koksie powinna by była obniżyć cenę tony wyrobów odlewniczych o ok. 15 zł. Sumując wszystkie możliwe do osiągnięcia oszczędności, uzyskać można na tonie kwotę 30 zł, t. j. właśnie tyle ile potrzeba, aby umożliwić naszym odlewniom konkurowanie na rynkach zagranicznych.

Tyle „Nowe Wiadomości Ekonomiczne". Ze swej strony można jedynie uzupełnić te dane stwierdzeniem, że nie są one jakimś specjalnie złośliwie dobranym fragmentem, a ilustrują powszechnie stosowane metody, zmierzające do zapewnienia kartelowej rentowności drogą najmniejszego oporu — ograniczonego zbytu po wysokich cenach.

ZAGADNIENIA WSI

Sprawa szkół rolniczych

Zagadnienie szkół rolniczych, to jedno z najpoważniejszych bodaj zagadnień jakie stoją przed wsią.

Liczba szkół rolniczych jest u nas w dalszym ciągu uderzająco mała i niewystarczająca, zwłaszcza w porównaniu z innymi krajami rolniczymi.

Na początku naszej Niepodległości w roku 1921 mieliśmy w b. Kongresówce 20 szkół rolniczych męskich i 19 żeńskich, zaś w Małopolsce 6 męskich i 6 żeńskich. Do szkół tych uczęszczało około 600 młodzieży. Na jedną szkołę przypadało wówczas zaledwie po kilkunastu uczniów. Zestawienie powyższe mówi nam wyraźnie, iż w tej dziedzinie — jak zresztą w wielu innych — musieliśmy rozpoczynać pracę prawie od nowa.

W ciągu dwudziestolecia naszej Niepodległości odrobiliśmy na tym polu wiele, dorobek ten nie jest jednak współmierny do prac dokonanych na innych odcinkach gospodarstwa narodowego.

Do chwili obecnej potroiliśmy liczbę szkół rolniczych. Małopolska posiada dziś 24 szkoły rolnicze, zaś województwa b. Kongresówki liczą dziś około 50 szkół. Wzmogła się również liczba młodzieży, uczęszczającej do szkół rolniczych. Przeciętna na jedną szkołę waha się dziś od 40 do 50 osób.

Ciekawie wygląda porównanie co do zasięgu szkół na terenie poszczególnych województw w r. 1921 i dziś. Posłużę się tu zestawieniem dokonanym przez „Szkołę Rolniczą":

Stan szkół żeńskich z początku i końca dwudziestolecia, (pierwsza liczba stan dawny, druga dzisiejszy): Białostockie — 0 — 1. Kieleckie — 3 — 6. Małopolska — 8 — 11. Lubelskie — 4 — 6. Łódzkie — 3—5. Poleskie—0—2. Pomorskie 0—2. Poznańskie — 1 — 5. Śląskie — 0 — 3. Warszawskie—4—8. Wileńskie — 0 — 2. Wołyńskie—0—1.

Szkoły męskie w tym samym porównaniu: Białostockie — 0 — 2. Kieleckie — 1 — 4. Małopolska — 3 — 13. Lubelskie — 4 — 7. Łódzkie — 1 — 3. Nowogródzkie — 0 — 4. Poleskie — 0 — 4. Pomorskie — 2 — 9. Poznańskie — 10—14. Śląskie — 1 — 4. Warszawskie — 4 — 7. Wileńskie — 0 — 4. Wołyńskie — 0 — 4.

Razem posiadamy w Polsce według najnowszych wykazów 131 szkół rolniczych, z czego 79 męskich i 52 żeńskie. (Nie licząc szkół wędrownych i licealnych).

Jeśli idzie o długość kursów tych szkół, to wśród męskich mamy: rocznych — 42, dwuzimowych — 30, półtorarocznych — 6, i 1 szkołę trzyletnią. Wśród żeńskich szkół jest rocznych — 49, jedna pięciomiesięczna i 2 dwuletnie.

W tym stanie rzeczy jedna szkoła rolnicza przypada mniej więcej na 2 powiaty, podczas gdy w każdym powiecie winny być przynajmniej dwie szkoły, choćby kilkomiesięczne, przez które przechodziłaby młodzież wiejska zanim zacznie gospodarzyć na własnym coraz mniejszym dziś skrawku ziemi, ze względu na stale zwiększającą się liczbę ludności.

Aby obraz szkolnictwa rolniczego był kompletny, należy jeszcze zaznaczyć, że męskich szkół państwowych mamy 17, samorząd terytorialny prowadzi 32 szkoły, samorząd rolniczy (Izby Rolnicze) — 25, prywatnych szkół mamy 5. Państwowych szkół żeńskich mamy 9, samorządu terytorialnego — 22, samorządu rolniczego — 6 i prywatnych — 15.

Ten przegląd i porównanie z pierwszymi latami Niepodległości pozwala nam stwierdzić — jak to już uczyniliśmy — poważny dorobek, równocześnie jednak ilustruje ogromne braki w tej dziedzinie. Ostatnio uruchomiono około 30 szkół wędrownych rolniczych, które cieszą się dużym powodzeniem, kompletami pochlubić się również mogą licznie urządzane w ostatnim roku doraźne kursy rolnicze, zapełnione są licea o charakterze rolniczym itd. Wszystkie te fakty świadczą o wysokim już dziś stopniu zrozumienia potrzeby fachowej wiedzy, a zatem i o konieczności realizowania na wielką skalę programu oświaty rolniczej.

Trzeba czymprędzej poddać gruntownej rewizji programy dotychczasowych szkół w kierunku powszechności oświaty rolniczej i ścisłego związania szkoły ze środowiskiem chłopskim. Ze sprawą tą wiąże się również ściśle zagadnienie nauczyciela szkoły rolniczej. Należy zwrócić szczególnie baczną uwagę na katastrofalny wprost odpływ fachowych sił nauczycielskich ze szkół zawodowych.

Inżynier agronom, chemik czy przyrodnik nie chce już dziś „siedzieć na posadce" za 150 złotych miesięcznie, skoro jako tako powracająca koniunktura stawia przed nim dużo lepsze możliwości w innych zawodach. Trzeba zatem i tą sprawę rozważyć i poważnie do niej się zabrać.

W idącym nowym roku na wszystkich rolniczych zjazdach i konferencjach winniśmy słyszeć hasło: w każdym powiecie szkoła rolnicza, następnie zaś ujrzeć jego realizację.

S. G.

O NAS U OBCYCH

W Ameryce o roli Polski w Europie

Miarą zainteresowania opinii amerykańskiej dla spraw polskich, zainteresowania, mającego swą przyczynę w niespodziewanym i błyskawicznym rozwoju sytuacji politycznej w Europie środkowej, jest mnogość artykułów w prasie amerykańskiej, poświęconych różnym odcinkom powyższego problemu, w szczególności zaś kwestiom, nie załatwionym w Monachium, a czekającym na realizację w najbliższej przyszłości.

Duże wrażenie w opinii amerykańskiej wywołała sprawa podkreślenia poprawności stosunków polsko-sowieckich oraz postępująca normalizacja stosunków Polski z Litwą. W świetle głosów prasy amerykańskiej obie te sprawy miały decydująco wpłynąć na kierunek obecnej polityki Polski.

Z licznych głosów tej prasy, poświęconych Polsce i omawiających jej sprawy nie zawsze z należytym zrozumieniem rzeczy i należytą perspektywą, na uwagę zasługują wywody *New York Times*.

Sukces Polski w układach z Litwą i Rosją — pisze cytowany dziennik — jest dowodem wielkiej poprawy w stosunkach politycznych, co nie pozostaje bez wpływu na ogólną sytuację w Europie wschodniej. Mała Litwa, która obywała się długo bez stosunków dyplomatycznych z Polską i wielka Rosja, która przed kilku tygodniami jeszcze groziła odwołaniem swego paktu o nieagresji z Warszawą, są teraz chętne do najszczerszej i stałej współpracy z Polską w celu powstrzymania niebezpieczeństwa niemieckiego i usunięcia przewagi wpływów niemieckich na wschodzie.

Polskiej nadzieje, że Niemcy po pochłonięciu Austrii i rozczłonkowaniu Czechosłowacji skoncentrują swój napór na południowo-wschodnią Europę i swe wpływy skierują na drodze do Adriatyku i na Bliski Wschód, znikły, kiedy Berlin założył veto przeciwko wspólnej granicy polsko-węgierskiej i sprzeciwił się wcieleniu Rusi Podkarpackiej do Węgier. Był to pierwszy sygnał alarmowy dla Rządu polskiego.

Dalsze wydarzenia na Rusi Podkarpackiej, która pozostała przy Czecho-Słowacji, niepokój w Kłajpedzie i wyzywająca postawa nazistów w Gdańsku, potwierdziły, zdaje się, polskie obawy, że Niemcy mogą dążyć do zamknięcia Polski z dwóch stron — od północy drogą bałtycką i od południa — drogą do Ukrainy sowieckiej i Morza Czarnego.

Perspektywy te nie wytrąciły Polaków z równowagi. Zdecydowanie i mocno wystąpili przeciwko pogłoskom o możliwości unii Gdańska z Rzeszą, o oderwaniu Ukrainy, o oddaniu odzyskanego co tylko Śląska Zaolziańskiego. Zabrali się natychmiast do roboty w celu doprowadzenia do doskonałości obrony państwa pod względem militarnym, dyplomatycznym i ekonomicznym.

Na polu dyplomatycznym reakcja była natychmiastowa. Nie było rzeczą trudną osiągnąć zgodę z Rosją i Litwą, dwoma przyszłymi obiektami w planie ekspansji niemieckiej. Ta „normalizacja" — używając określeń oficjalnych — stosunków z Moskwą i Kownem nie została jednak dokonana przeciwko Niemcom i nie jest wyrazem zamiaru utworzenia bloku anty-niemieckiego. Minister spraw zagranicznych Józef Beck powtarza ciągle, że przy obecnym podziale Europy na dwa ideologiczne obozy jego polityka polega w dalszym ciągu na zapewnieniu Polsce niezależności akcji i utrzymaniu długo poszukiwanej równowagi między Rosją komunistyczną i nazistowskimi Niemcami...

Kiedy po konferencji monachijskiej ta równowaga została zachwiana i jej punkt ciężkości przesunął się na korzyść Niemiec, pułk. Beck dążył do przywrócenia jej przez zwrócenie się do Rosji, jednakże bez montowania jakiejkolwiek akcji anty-niemieckiej.

Polacy zdają sobie sprawę z tego, iż nie mogą kontynuować swej polityki niezależności politycznej bez ubezpieczenia ekonomicznego, przede wszystkim tak długo, dopóki nie osiągną samowystarczalności w produkcji uzbrojenia. Polska drogą lądową na Zachód i drogą morską przez Bałtyk do innych krajów może być zamknięta barierą niemiecką, lecz to bynajmniej nie oznacza odcięcia Polski od świata. Dostawa potrzebnych surowców może być uskuteczniana także drogą przez Dardanele i przez Rumunię, aczkolwiek jest ona okrężna i dłuższa.

Umowa handlowa z Rosją asekuruje Polskę przed wszelkimi niespodziankami ze strony zachodniej.

W zamian za tego rodzaju niezbędne surowce, jak i żelazo i inne rudy, tekstylia i skóry, Polska może eksportować coraz więcej wytworów rozwijanego przez siebie przemysłu. Zwiększona wydajność przemysłu polskiego będzie stanowiła pewną rekompensatę dla Rosji za utracony import czesko-słowacki.

To samo można powiedzieć o materiałach wojennych, które Polska produkuje w coraz większych ilościach w swym „arsenale", rozbudowywanym w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Polski „dr Schacht", wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, oznajmił dumnie w Sejmie, że kraj nie tylko osiąga samowystarczalność w produkcji broni i amunicji, ale nawet poczyna eksportować niektóre części uzbrojenia.

Rosja zawsze przedstawia pojemny rynek zbytu dla stali, wyrobów tekstylnych i broni. Nikt też nie zdoła przeszkodzić temu handlowi między dwoma sąsiadami, graniczącymi z sobą na przestrzeni 700 mil.

Wicepremier Kwiatkowski nakreślił dla Polski plan rozwoju przemysłowego. Pierwsze trzy lata będą poświęcone głównie na rozwój przemysłu wojennego. Uprzemysłowienie kraju — oznajmił on — wymaga jednak zwiększenia importu najlepszych maszyn.

Dla Polski najwygodniej jest kupować potrzebne maszyny w Niemczech,

gdyż oba państwa mają jednakowe systemy finansowe, oparte na ścisłej kontroli walut i kwot importu. Niemcy potrzebują polskich produktów rolnych, a szczególnie mięsa i tłuszczów, wreszcie muszą posługiwać się polskimi kolejami w przejeździe do Prus Wschodnich. Tym eksportem i tranzytem kolejowym można zapłacić za sprowadzone z Niemiec maszyny.

Zsumowawszy wszystko stwierdzić wypada, że ambitni Polacy budują własny system ekonomiczny w Europie Wschodniej, który już na małą skalę rywalizuje z niemieckim. A ponieważ Niemcy są wciąż potrzebni, więc też, zamiast wznosić ekonomiczną i polityczną barierę przeciw ekspansji nazistowskiej, Polacy usiłują zachować przyjazne stosunki, nawiązane od czasu zawarcia polsko-niemieckiego paktu o nieagresji w roku 1934.

Niezeleżnie od tego Polacy poczynają spoglądać i poza Niemcy, w kierunku zachodnim — na Francję i Wielką Brytanię, mimo, że państwa te pozostawiły Europę wschodnią na łup nazistów.

Polacy nie porzucają nadziei, że Paryż szybko zrozumie niebezpieczeństwo izolowanego asekurowania się Zachodu. Polacy chcieliby też wiedzieć dokładnie, gdzie właściwie stoi premier Chamberlain. Pilnie obserwują również, co się mówi po drugiej stronie Atlantyku i powitaliby radośnie pomoc amerykańską w ogólnym dążeniu do doprowadzenia do utemperowania głównych sprawców niepokojów wojennych w Europie.

We Francji o wizycie min. Becka

Wizyta ministra Becka u kanclerza Hitlera w Berchtesgaden odbiła się we Francji głośnym echem, dając dziennikom wszystkich odcieni asumpt do głębszego zajęcia się sprawami polskiej polityki zagranicznej w chwili obecnej. Dużo w komentarzach tej prasy do wizyty płk. Becka ignorancji politycznej, dużo impertynencji, dużo wreszcie nieukrywanego żalu do kierownictwa francuskiej polityki zagranicznej, że nie umiało ono w jakikolwiek sposób przeciwdziałać rozwojowi wypadków, rzekomo dającemu Rzeszy swobodę działania na Wschodzie i w Europie środkowej. Z wystąpień prasowych na temat wizyty cytujemy niżej głosy dwóch biegunowo sobie przeciwnych ideologicznie dzienników — naczelnego organu partii socjalistycznej „Le Populaire" oraz organu skrajnej prawicy — „L'Action Francaise". Wystąpienia obu dzienników, dalekie w szeregu wypadkow od obiektywizmu i umiaru publicystycznego, są bardzo charakterystyczne dla oceny wciąż jeszcze nieskrystalizowanego stanowiska szerszej opinii francuskiej wobec słusznych i żywotnych interesów Polski w nowokształtującym się układzie sił politycznych w Europie po-monachijskiej.

Na łamach „Le Populaire" komentuje wizytę min. Becka redaktor polityczny tego czołowego organu francuskiej partii socjalistycznej — Pierre Brossolette — w sposób następujący:

„Wracając z Monte Carlo pułkownik Beck, minister spraw zagranicznych Polski, zatrzymał się w Berchtesgaden, gdzie przeprowadził rozmowy z kanclerzem Hitlerem, których charakter prywatny napróżno stara się podkreślać propaganda niemiecka; obecność von Ribbentropa i Lipskiego, ambasadora Polski, wystarczy w rzeczywistości dla wykazania, że jest przeciwnie i że chodzi tu o ściśle dyplomatyczną konferencję.

— W momencie, w którym jesteśmy, i w okolicznościach, w jakich się znajdujemy, tego rodzaju spotkanie wzbudza naturalnie pewne podejrzenie i pewną obawę.

— Podejrzenie: Zdawałoby się, że zrozumiawszy powagę groźby, ciążącej od czasów Monachium ze strony Rzeszy nad europejskim wschodem, dyplomacja polska wycofa się też ze swej polityki współpracy z Berlinem. Czy przypadkiem płk. Beck nie na to wykonał gest zbliżenia do Sowietów, aby jak najprędzej iść do zamiany go na inną monetę w Obersalzberg?

— Obawa: Czy kanclerz Hitler nie skorzystał ze spotkania z płk. Beckiem, aby wywrzeć na niego zdecydowaną presję i otrzymać od Warszawy przez mniej lub więcej dosadne groźby przyrzeczenia absolutnej ustępliwości w tym wszystkim, co dotyczy Kłajpedy i Gdańska, wzgl. w tym, co dotyczy stosunków Polski z Sowietami, albo jej oporu wobec zaborczych planów ukraińskich w Berlinie?

— Przyszłość da bez wątpienia na te pytania dokładną odpowiedź.

— Co jednak można już teraz zaobserwować, to fakt, że inicjatywa tego spotkania nie wyszła ze strony polskiej, lecz ze strony niemieckiej. P. Beck nie miał zamiaru zatrzymać się w Monachium w drodze powrotnej: to Wilhelmstrasse zaprosiła go.

— Nie ma wątpliwości, że płk. Beck przyjął zaproszenie, zawiadomiwszy o tym uprzednio bardzo poprawnie Rząd francuski. Czyż mógł odmówić temu spotkaniu, które mu wyznaczył tak potężny sąsiad?

— By mógł był to uczynić (odmówić) trzeba byłoby, aby miał zupełną swobodę ruchów, a on tej swobody nie ma. Należałoby też, aby miał poczucie mocnego poparcia Zachodu: a on tego poczucia jeszcze niema.

— Można by pod tym względem wyrazić wielki żal, dlaczego francuska dyplomacja, wyprzedzająca lub naśladująca dyplomację niemiecką, nie powzięła inicjatywy spotkania się pułkownika Becka z p. Georges Bonnet.

— Niechże nas dobrze zrozumieją. Nie mamy najmniejszej sympatii dla systemu rządów, którego pułkownik Beck jest jedną z podpór. Zagraniczna polityka, wykonywana dotychczas przez następcę min. Zaleskiego, wywołuje w nas tylko brak ufności i niechęć. Pochopność, z jaką płk. Beck rzucił swój kraj na rzecz zaboru kawałka ziemi, gdy Czechosłowacja była śmiertelnie ranną, wywołuje w nas wciąż jeszcze niesmak.

— Ale, jeśli dobrze rozumiemy, nie przestaje się w nas wmawiać, że nie robi się polityki uczuciem. Jeszcze mniej przesądami ideologicznymi.

— W tych warunkach, wydaje się, że dyplomacja francuska nie odczuwała najlżejszego popędu, aby skorzystać z pobytu płk. Becka na Lazurowym Brzegu dla przygotowania mu spotkania z p. Georges Bonnet.

— Jeśli nasze wspomnienia są prawdziwe, to zresztą przed 2 laty min. von Delbos zaprosił ministra spraw zagran. Polski do spotkania się z nim. Wywołało tu duży odgłos w opinii polskiej. Nie zapomina się też, że od 1933 roku nigdy stosunki między obu krajami nie były bardziej bliskie, jak w czasie tego okresu pierwszego rządu Frontu Ludowego.

— A czy to, co uczynili ideolodzy z 1936 roku, nie mogliby uczynić realiści z r. 1938? Nie pomyśleli o tym? Albo może ich polityka porozumienia i ugody wyklucza te narody, z którymi związani jesteśmy przez pakty i przez tradycje?

— Nie należy wątpić, że takie spotkanie francusko- polskie, chociażby nie uniknięto spotkania w Berchtesgaden, przynajmniej napełniło polskiego ministra spraw zagranicznych większym zaufaniem dla oparcia się naciskowi, teraz bez przeciwwagi wywartemu na niego.

— Oczywiście nie ma tu potrzeby wierzyć, że wszystko zostało zepsute, ponieważ pułkownik Beck spotkał się z Führerem. Sprawa ukraińska, sprawa bałtycka nie są dojrzałe do załatwienia, aby zaraz odpowiedzieć „Tak" lub „Nie". Ostatecznie Polska, to nie Austria ani też Czechosłowacja. Posiada ona większe środki oporu. Nie jest też na tyle sentymentalna, aby się ich nie chwyciła nawet wobec Niemiec, jeśli jej interes tego będzie wymagał.

— Mimo to istnieje wrażenie, że Rzesza jest w kursie zaangażowania żelaza we wschodniej Europie i że Francja nie interesuje się tymi sprawami.

— Czy to się dzieje po namyśle?

— Niechże rząd francuski to wyjaśni i niech wypowie pakty, do których nie przywiązuje więcej wartości.

— Jeśli jednak nie zamierza zgodzić się z upadkiem paktów, niechże — na Boga — ma politykę na europejskim Wschodzie i ją prowadzi.

— Bo najgorszym byłoby pozbawić łączące nas pakty ich treści realnej i skuteczności, zatrzymując je nadal w mocy".

*

Na łamach „L'Action Francaise" komentarz pochodzi spod pióra publicysty francuskiego Le Bouchera, który wizycie próbuje nadać tło szersze:

„Spotkanie Hitler — Beck jest w Niemczech omawiane bardzo szeroko, kanclerz Rzeszy nadał swojej rozmowie z polskim ministrem spraw zagranicznych specjalny charakter. Czy oznacza to, że Polska przeszła od polityki dorywczej do polityki ustabilizowanej? Byłoby ryzykownym tak twierdzić.

Od nieszczęsnej próby paktu 4-ch z roku 1933 rząd warszawski prowadzi politykę ryzyka. Będąc bowiem związaną z Francją traktatem, wynikłym w porstej linii ze zwycięstwa aliantów i z samego faktu swego powstania, Polska poszukiwała znośnego modus vivendi z Rzeszą. Myślała, że go znalazła. Istotnie, żaden poważny spór nie powstał od r. 1933 między Berlinem i Warszawą. Polacy nie przejmują się wzrastającym stale wpływem Rzeszy w Gdańsku. To ich rzecz. Ale kiedy kanclerz Hitler pokazał w sposób zbyt wyraźny swoje plany co do Ukrainy przez przeciwstawienie się myśli wspólnej granicy między Polską a Węgrami, pułk. Beck zaniepokoił się. Niezwłocznie zaczął szukać nowej równowagi. Upozorował zbliżenie do Moskwy. Stosunki między Rosją sowiecką a Polską zdawały się przybrać znowu charakter poprawny. Należy wątpić, czy kanclerz Hitler zaniepokoił się żywiej tą piruetą dyplomatyczną. Niemcy zdają sobie sprawę równie dobrze jak my z głębokiej i twardej nienawiści, która dzieli Polaków i Rosjan. Nie obce jest im również to, co myśli Warszawa o armii sowieckiej, Władca Rzeszy nie byłby więc zaprosił płk. Becka do Berchtesgaden, aby porozmawiać o stosunkach polsko-rosyjskich. Flirt między Warszawą a Moskwą nie może pójść zbyt daleko. Nie jest to forma sojuszu, jest to tylko podkreślenie pozycji obronnej. Byłoby zresztą tak samo, gdyby na tronie Stalina zasiadał potomek Romanowych. Nie można złączyć ognia z wodą. Polacy zawarliby sojusz raczej z diabłem, niżeli z Rosją. Hitler wie o tym. To, o czym mógł nie wiedzieć jeszcze kilka dni temu, to stanowisko Polski na wypadek, gdyby rzeczy wzięły zły obrót w basenie śródziemnomorskim. Jakie stanowisko zająłby rząd warszawski. Zagadka polska tkwi właśnie w tym.

Co wart jest jeszcze sojusz francusko-polski? W jakich wypadkach byłby on skuteczny? Nie ulega wątpliwości, że Polacy nie byliby ruszyli małym palcem w obronie Czechosłowacji. Czy byłoby tak samo, jeżeli wybuchłby konflikt w rejonie, w którym uważają, że nie mają żadnych interesów, jak np. w basenie śródziemnomorskim.

Kanclerz Hitler najprawdopodobniej chciał wysondować to w rozmowie z płk. Beckiem. Można łatwo zrozumieć jego ciekawość.

Quai d'Orsay natomiast nie okazuje żadnego zainteresowania do wyjaśnienia sytuacji. Obecność płk. Becka w Monte Carlo pozwalała przecież zbadać, jak stoimy z Polską, i jakie będą reakcje obu rządów, postawionych wobec pewnych problemów. Zarówno w interesie Polski, jak i Francji jest pożądanym wiedzieć czego się trzymać.

Pan Bonnet nie uważał za wskazane zaprosić płk. Becka na rozmowę z nim. Minister polski również nic nie zrobił, aby rozmowy zapoczątkować. Tyle nieśmiałości z obu stron doprowadziło w rezultacie do spotkania w Berchtesgaden.

Wobec chmur, które gromadzą się nad Europą, byłoby jednak nieodzownym rzucić trochę światła na sojusz francusko-polski.

Leży to w interesie obu krajów.

Trzeba by jednak, aby Quai d'Orsay wiedziało najpierw, czego chce, aby miało politykę jasną i zdefiniowaną.

Tak jednak nie jest.

Aby nie stanąć wobec faktów dokonanych, podobnie jak we wrześniu, jest nieodzownym wzmocnić nasze zbrojenia, ale trzeba także mieć bardzo jasny obraz naszych sojuszów."

*

Oba wystąpienia zgodne są w stwierdzeniu, że wobec narastającej kolaboracji Rzeszy z Polską Francja zadowala się stanowiskiem, pełnym wyniosłej rezerwy, niezgodnej z jej interesami na wschodzie Europy. Jest to niewątpliwie twierdzenie bardzo cenne, jeśli chodzi o dziedzinę kształtowania się stosunków między Francją a Polską w latach ostatnich. Wynika z niego zupełnie niedwuznacznie, że w nielicznych jeszcze kołach francuskich zaczyna się pozytywnie oceniać rolę Polski jako czynnika współrzędnego w wielkiej grze politycznej, jakiej świadkiem jest w chwili obecnej Europa.

PRZEGLĄD PRASY

Ognisko niepokoju

Na miano takie zasługuje w dalszym ciągu czecho - słowacko - ruski twór państwowy, a specjalnie jego człon ostatni, t. zn. Ruś Podkarpacka, będąca niedawno temu terenem niespodziewanej agresji przeciwko Węgrom. Jak słusznie podkreśla EXPRESS PORANNY (nr. 7), walny udział w utrzymywaniu tego stanu niepewności mają czynniki kierownicze tego państwa.

„W podstępnej agresji wzięły udział także wojska czeskie. Nastąpiła zaś ona po długiej serii innych poważnych zajść na granicy czecho-słowacko-węgierskiej i na pograniczu Śląska Zaolziańskiego.

Świadczy to dobitnie o stanie anarchii na granicach państwa czecho-słowackiego i nie pozwala żywić zaufania do obietnic Pragi, która wciąż gło-

si, iż pragnie dobrych stosunków z sąsiadami, a tymczasem nie chce czy nie umie położyć kresu działalności różnych awanturniczych elementów przeciw sąsiednim państwom.

Toteż nasuwa się nieodparty wniosek, że stosunki na granicach Czecho-Słowacji są źródłem niepokoju w Europie środkowej. W szczególności zaś jest ogniskiem niepokoju pogrążona w anarchii i chaosie Ruś Podkarpacka".

KURJER POLSKI (nr. 7) zwraca w związku z napaścią pod Munkaczem uwagę na psychologiczne cele tego rodzaju akcyj:

„Cel psychologiczny zdaje się sprowadzać do utrzymywania stanu niepewności w różnych punktach Europy, nie wyłączając również naszego zaolziańskiego pogranicza.

Ta gra na nerwach sąsiadów jest o tyle uzasadniona, że właściwie od dłuższego już czasu zwycięstwa i porażki w polityce europejskiej stają się przede wszystkim pochodną wytrzymałości nerwowej stron: kto ma silniejsze nerwy, ten zwycięża.

Dotychczas grano na nerwach widmem wojny. Z chwilą jednak, gdy Europa nieco się już z nim otrzaskała, zwiększa się dawkę: teoretyczną groźbę armat, karabinów etc. zastępują realne armatnie i karabinowe strzały.

Nic lepiej nie ułatwia zachowania równowagi nerwowej, jak świadomość, że o tę równowagę przede wszystkim dziś chodzi".

Morskie Monachium

Morskim Monachium nazywa się dzisiaj w kołach angielskich stanowisko W. Brytanii w sprawie postawienia przez Niemcy na porządku dziennym realizacji parytetu niemieckiego w dziedzinie okrętów podwodnych, sprawie, która wywołała poważne zaniepokojenie w opinii publicznej Zjednoczonego Królestwa.

Jak przypomina ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY (nr. 8), Niemcy motywują potrzebę podniesienia tonażu okrętów podwodnych niebezpieczeństwem sowieckim, wskazując na 150 sowieckich okrętów podwodnych, mogących działać koncentrycznie na wodach niemieckich — od wschodu i zachodu. Motywy tego rodzaju nie mogą być brane poważnie w rachubę, gdyż — jak to słusznie podkreśla cytowany dziennik — starcia między wrogimi sobie okrętami podwodnymi należały do rzadkości.

Szukając właściwej odpowiedzi na pytanie, dlaczego to właściwie Niemcy z takim zapałem budują okręty podwodne, pismo dochodzi do wniosku, że działają tutaj te same racje, co w wypadku z Sowietami: oto okręty podwodne mają być użyte do podważenia gospodarczej egzystencji przeciwnika:

„Na tym właśnie polega różnica. Oba mocarstwa osi Londyn — Paryż budowały swoje floty podwodne pod kątem widzenia czysto militarnym. Niemcy, Włochy, Sowiety, budują je z nastawieniem na wojnę gospodarczą. Okręty podwodne Anglii i Francji są wielkie, silnie uzbrojone, obliczone w pierwszym rzędzie na działania przeciwko obiektom militarnym. Małe okręty podwodne Niemiec i Rosji obliczone są na unikanie, o ile możności, walki z sobie równymi czy silniejszymi — natomiast na bezwzględne tępienie tonażu handlowego—innymi słowy na ofensywę strategiczną przeciwko środkom egzystencji przeciwnika.

Jeśli w planach sowieckich leży atakowanie niemieckiego handlu morskiego i jego transportów z dwóch stron — od Kronsztadtu i od Murmańska, co utrudniłoby dowóz surowców skandynawskich i większości artykułów pierwszej potrzeby — to już bezwzględnie taki sam plan istnieje w Niemczech pod adresem... Wielkiej Brytanii. Ponieważ ta ostatnia jest wyspą, a nadto posiada rozsiane po świecie dominia i kolonie, tedy jej sytuacja strategiczna jest tu raczej trudniejsza od sytuacji Niemiec. Pół setki niemieckich okrętów podwodnych, operujących na liniach komunikacyjnych przeciwnika, to w każdym razie poważne utrudnienie transportu morskiego".

Uwagom tym nie sposób odmówić słuszności. Sam fakt podciągania się Niemiec na morzu, przy równoczesnym realizowaniu planów politycznych na kontynencie, do poziomu potęg morskich wskazuje na niezamknięty jeszcze okres dynamiki politycznej i ekonomicznej Niemiec narodowo-socjalistycznych.

O wielki plan społeczno-gospodarczy

GAZETA POMORSKA (nr. 7) słusznie podkreśla konieczność podciągnięcia ekonomicznego Polski wzwyż w związku z szybkim wzrostem sił polityczno - gospodarczych państw ościennych. Podkreślenie tej potrzeby jest o tyle na czasie, że przecież w naszym życiu społecznym i gospodarczym tkwią wielkie a niewyzyskane zasoby sił drzemiących nieproduktywnie przy równoczesnym istnieniu szeregu niezaspokojonych potrzeb ogólno-państwowych.

Wynika stąd niezbicie — pisze „Gazeta Pomorska" —

„...iż w naszym systemie gospodarczym istnieje jakaś luka, brak jakiegoś ogniwa, dzięki któremu te rażące dysproporcje istnieją. Żywotny interes państwowy nakazuje je zlikwidować możliwie najszybciej.

Stać się to może tylko na drodze zorganizowanego wysiłku myśli. Samorzutność procesów gospodarczych, jako coś odpowiadającego czasom minionym, spokojnym — zawodzi całkowicie. Należy świadomą myślą i planowaniem uzupełnić to ogniwo, którego brak powoduje powstawanie omawianej dysproporcji.

Nie będzie to nic innego, jak tylko oparcie naszej polityki gospodarczej na zasadzie, iż do rytmu życia gospodarczego, świadomie muszą być wciągnięte siły, leżące dziś odłogiem. Wszystkie elementy gospodarowania, a więc praca, surowce, kapitały, metody produkcji muszą być w pełni pociągnięte do wytężonego życia. Praca, jako największe bogactwo, którym rozporządzamy, stać się musi kamieniem węgielnym polityki gospodarczej, świadomie zdążającej do podźwignięcia Polski wzwyż".

Z chwilą, gdy staniemy na tym stanowisku, musimy uświadomić sobie konieczność rozumnego i celowego zorganizowania naszego życia gospodarczego.

„Wiąże się to ze sprawą ogólnego programu zamierzeń, ustalenia wielkiego planu, obejmującego wszystkie dziedziny narodowego życia, w którym cele gospodarcze będą ściśle powiązane z pozostałymi. I tutaj przed światem naukowo-technicznym i ekonomicznym Polski dzisiejszej stoi niezmiernie odpowiedzialne zadanie określenia potrzeb, ich hierarchii, które muszą być zrealizowane, oraz wykreślenia dróg, którymi realizacja tych potrzeb będzie kroczyć. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że cudów nie ma, że cele te muszą być osiągnięte środkami, które mamy do dyspozycji. Chodzi więc o to, by powstał plan gospodarczo-społeczny, który by te środki w postaci wolnej pracy fizycznej i umysłowej, dysponowane surowce, niespełna wyzyskane urządzenia techniczno-produkcyjne skojarzył w sposób, zapewniający ich harmonijne współdziałanie, przyczyniające się do powstania nowych wartości społeczno-gospodarczych. Suma tych niewyzyskanych, marniejących możliwości jest wystarczająco wielką, by usunąć niedorozwój i nędzę naszego życia".

Na marginesie pogrzebu R. Dmowskiego

KURIER PORANNY (nr. 11) opublikował następujący komunikat, wyjaśniający motywy absencji rządu i sfer oficjalnych na pogrzebie R. Dmowskiego:

„W pewnej części prasy znajdujemy od kilku dni uwagi na temat nieobecności rządu i sfer oficjalnych na pogrzebie ś. p. Romana Dmowskiego. Aczkolwiek sprawa ta nie powinna — naszym zdaniem — być tematem rozważań publicznych, ponieważ wymaga omawiania szczegółów drastycznych, ale minionych, niemniej raz poruszona nie może pozostawać bez odpowiedzi.

Jeżeli więc w pogrzebie ś. p. Romana Dmowskiego nie wzięli udziału przedstawiciele rządu i sfer oficjalnych, to oczywiście fakt ten posiada swoje uzasadnienie.

Miał on ścisły związek z innym zdarzeniem, które cała bez wyjątku Polska głęboko przeżywała blisko cztery lata temu, tj. ze zgonem Józefa Piłsudskiego i powszechną po Nim żałobą narodową.

W tych pamiętnych dniach ani ś. p. Roman Dmowski ani jego obóz polityczny w żadnej formie nie przyłączyli się do żałobnych i bolesnych uczuć całego narodu, chociaż była do tego sposobność, aby ś. p. Dmowski dał wówczas publiczny wyraz temu pozytywnemu stanowisku, jakie o osobie Józefa Piłsudskiego wyrażał niejednokrotnie w prywatnych rozmowach ze swoimi współpracownikami.

I kiedy inni b. współtowarzysze Dmowskiego, jak I. Paderewski, przesłali wyrazy współczucia po zgonie J. Piłsudskiego, obóz i prasa, podlegająca dyrektywom ś. p. Romana Dmowskiego, nie wahały się zarówno w okresie żałobnych dni majowych 1935 roku, jak i po nich zajmować stanowisko kolidujące z moralnym poczuciem już nie tylko narodowym, ale nawet ludzkim. Dość przypomnieć, że na tym tle powstała geneza ustawy o ochronie pamięci Józefa Piłsudskiego.

Nie można wreszcie przemilczeć nie wszystkim znany fakt, że ś. p. Roman Dmowski nie potrafił osobiście w chwili zgonu Józefa Piłsudskiego utrzymać miary w stosunku do zmarłego Wodza Narodu.

W tych warunkach udział sfer oficjalnych, pełniących straż nie tylko nad dorobkiem, ale i imieniem Józefa Piłsudskiego, byłby niewłaściwością.

To zaś, co należało się zasłudze ś. p. Romana Dmowskiego, zostało lojalnie stwierdzone i podkreślone w prasie, będącej wyrazem obozu Józefa Piłsudskiego. I pod tym względem obóz ten wykazał szacunek dla pamięci i zasług Zmarłego, czego nie da się powiedzieć o stanowisku prasy z obozu R. Dmowskiego, która — jeżeli nie rzucała obelg — milczała w dniach żałoby z r. 1935.

Sądzimy, że wyjaśnienie i przypomnienie niniejsze było nieodzowne i byłoby rzeczą aż nadto właściwą, aby dyskusja w tej sprawie została zamknięta.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.